Wpisano do inwentarza
10 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 24. IX. Nr ..... 19 60.

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
ROK III
Łódź 25. IX.
1960 r.
Nr 38 (134)
Cena 1 zł

W numerze m. in.:

„BUCHALTER ŚMIERCI" - str. 4

„Świat w którym żyjemy" - str. 6

„HIROSZIMA moja miłość"
patrz str. 12

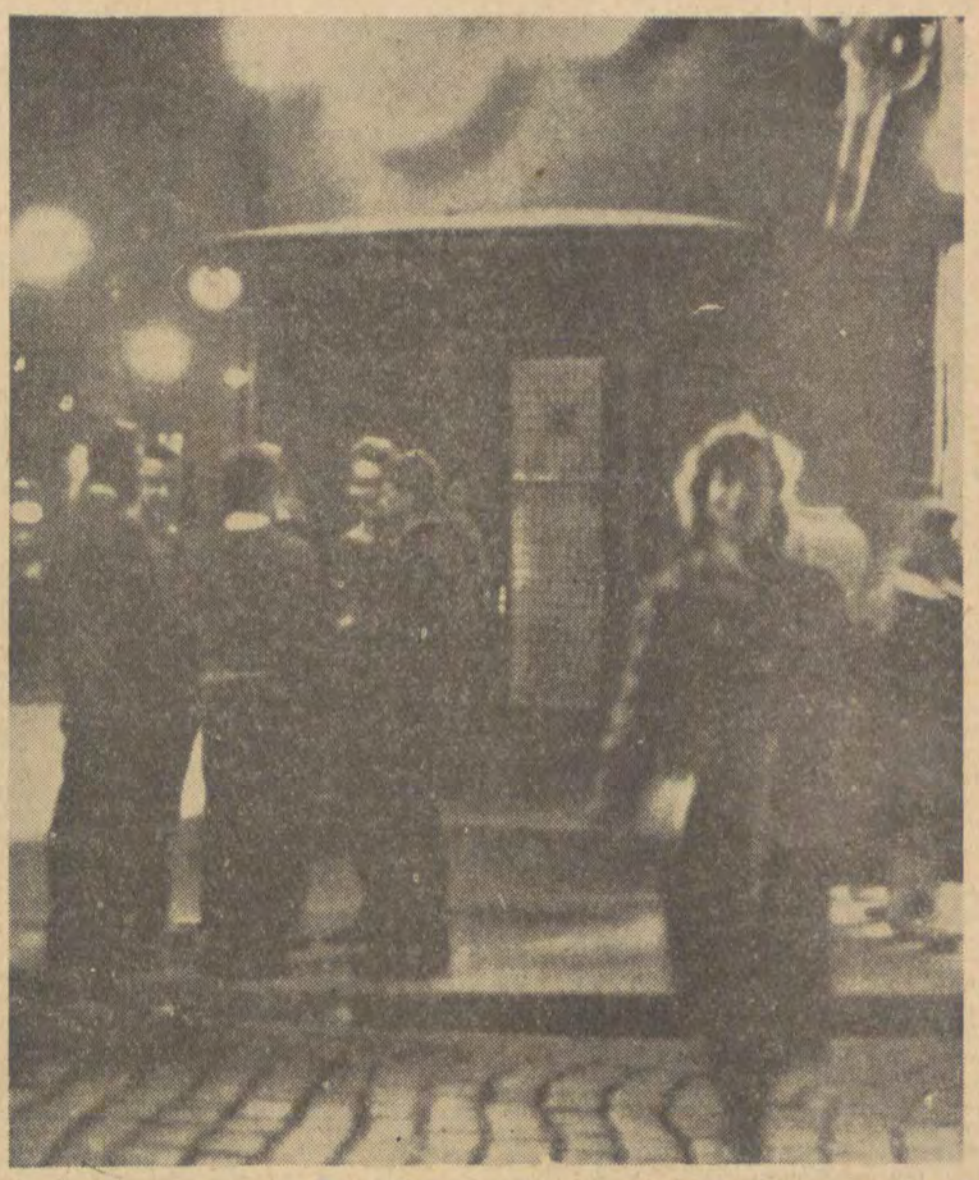

TERESA ZWIERZCHOWSKA

GRACZE

...A więc to są te łąki. Rozpościerają się po prawej stronie drogi. Podchodzą jednym brzegiem aż po wiejskie opłotki, a kończą się tam gdzie las ciemnym pasmem oddziela je od linii horyzontu. Wjeżdżaliśmy już do wsi, gdy zadałam sobie pytanie: — do kogo jechać najpierw? Gdziekolwiek pojadę, narażę się na zarzut stronniczości. Tak czy owak, ktoś będzie niezadowolony. Mimo wszystko bardziej wypada zajrzeć najpierw do prezesa. On tu jest przedstawicielem samorządu pierwszą osobą w Woli Wiewieckiej, cokolwiek o tym sądzi pewna część mieszkańców.

Prezes Stępień czeka przed domem, jakby ten przyjazd był już przedtem omówiony. Przywykli już widać do niespodziewanych „nalotów". Trochę niechętnie zaprasza do środka. Wchodzimy do gościnnej izby — w każdej chacie jest taki wydzielony pokój, nieuczęszczany na co dzień przez członków rodziny. Panuje tu zawsze trochę piwniczny chłód jako, że izby nie opala się ni zimą ni latem, chyba, że jest niezwykła ku temu okazja. Oczy z trudem przyzwyczajają się do mroku rozświetlonego nikłą niebieskawą poświatą, która bije od bielonych ścian. Małe okienka, przysłonięte szczelnie kwiatami w doniczkach, niewiele przepuszczają światła. Siadamy przy dużym stole. Pokój wypełnia się szybko ludźmi. Zwabiła ich zapewne służbowa „Warszawa" przed domem prezesa.

Zadanie mam niełatwe. Chodzi o to, by dociec, gdzie leży sedno konfliktu i kto ma rację w sporze, który tli się od dziesiątek lat, a teraz rozgorzał z nową siłą.

Kość niezgody stanowią łąki. Jest to własność poukazowa. Mieszkańcy Woli Wiewieckiej otrzymali łąki w wyniku uwłaszczenia równe sto lat temu i do tej pory obszar ten stanowi własność wsi, oddaną im we wspólne użytkowanie. Tak głosi stary carski dokument. Bardziej jednak niż stary dokument obowiązuje tu prawo zwyczajowe. Już dziad i pradziad wspólnie użytkowali te łąki, wspólnie kopali tam torf, wypasali bydło i nikt nie może zmienić tego, co dziad i pradziad przekazali swym synom i wnukom jako święte, nienaruszalne prawo. Takim prawem jest niepodzielność tych gruntów. A właśnie znaleźli się tacy, którzy targnęli się na te „świętości". Byli to siedzący tu przy stole członkowie zarządu kółka rolniczego w Woli Wiewieckiej.

Postanowili oni, by po stu latach bez mała zaorać łąki. Łąki te nie były dotąd uprawiane, bo skoro wszyscy mieli do nich jednakowe prawa, mogli to zrobić albo

Dokończenie na str. 5

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

MAREK WAWRZKIEWICZ

Ulica w deszcz

MOTTO:

Noc ciemna i zimna.
Od wschodu wicher dmie.
Powiedz chuliganie gazie
poznaliśmy się
Tam na dcptaku
zapoznaliśmy się
A młode moje serce do
niego aż się rwie

Tego wieczoru deszcz właśnie padał i ulica mokra była, więc ładnie odbijały się na niej światła latarń i neonów wiele neonów na Piotrkowskiej, co chcesz Europa nie tak daleko, czuje się Europę, chociaż wyjdź tylko za Piotrkowską, na równoległą do niej Kilińskiego, brzydkie okopcone niskie rudery, neon tu wygląda jak róża przy brudnym kożuchu, gdzie tam Europa, jakiś Parczew, jakiś Lubartów w głuchej Lubelszczyźnie, nie marudź — wracamy na Piotrkowską między Tuwima a Narutowicza, wracamy na deptak, mamy mówić o łódzkiej Europie. Powiadasz, stąd początek, tutaj właśnie ten refleks światła na mokrym asfalcie i odblask neonu pedetu na szybie apteki, stoimy na sławnym łódzkim szpicu w podcieniu, deszcz cholerny, dobre to podcienie. Mówią faceci o ełkaesie, nie interesuje nas ełkaes, jakieś mordobicie przydałoby się, jakieś typy spod najciemniejszej planety, materiał o chuligańskiej Łodzi, tego szukamy, tego szukamy? Na zamówienie jakby gość jakiś za pierwszym filarkiem przewraca się znużony alkoholem, brzęczy butelka włożona do wewnętrznej kieszeni marynarki z samodziału: widzę dobrze, że samodział, stoję obok, leży nie ma siły ani ochoty podnieść się. Ciekawe jak długo będzie tak leżał, deszcz cholerny. Podchodzi jakiś młodzian, podnosi go energicznie, stawia na nogi, opiera o filarek, nie, na pewno nieznajomy, widać że nie zawahałby się strzelić w szczękę, gdyby napotkał opór, ale nie, gość stoi spokojnie. Młodzieniec rozgląda się, zielone światło, stawia kołnierz płaszcza i przechodzi na drugą stronę. Deszcz cholerny. Gdzie ta chuligańska Łódź? Mówili — samotna kobieta nie przejdzie przez Piotrkowską wieczorem, to jest teoretycznie niemożliwe, mądrze mówili, ale nie bardzo prawdziwie mówili. Ta kobieta na przykład wali ulicą jak czołg albo pluton ciężkiej jazdy, zaczep taką, chuliganie. Idzie za nią druga, „babka nielicha" rzeczywiście „nielicha", kto ją poderwie? Trzech facetów w igelitowych płaszczach, zajętych gwałtowną rozmową, żaden się nie ogląda za „nielichą babką", no, to my skoczmy, „podrywka".

Co pani robi na Piotrkowskiej o 22.30?

Pani jest zaskoczona, zupełnie nie ma ochoty odpowiadać, legitymujemy się, z prasy jesteśmy, wchodzimy z nią w bramę.

Co robię, wracam z kawiarni, nie, wcale nie z mężczyzną, byłam z koleżankami, mężczyzna przecież by mnie odprowadził.

Śmieje się.

Teraz wracam do domu. Jest transmisja z Olimpiady, trzeba popatrzeć. Nie, raczej nie zaczepiają, czasem tylko jakiś pijany, a chodzę tu często. Imię konieczne?
— Grażyna.

Dobranoc pani Grażyno, nie odprowadzimy, nikt pewnie nie zaczepi. Deszcz cholerny.

Idzie czterech facetów, słyszymy.

— I wtedy on do nas: Ten raz to jeszcze puszczę, ale jak kiedy tu zobaczę to ku-

Dokończenie na str. 8

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

LEKTURA do BIURA

Prawie nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło, żebym zadzwonił do jakiegokolwiek mojego znajomego pracującego w instytucji noszącej charakter biura i żeby ten ktoś nie mógł się ze mną umówić na kawę w godzinach pracy z tej racji, że ma dużo roboty, nie zaś dlatego, że szef go nie puści.

Mam dużo znajomych, którzy indagowani o to, co konkretnie w swoim biurze robią, niewiele na ten temat potrafią powiedzieć. Raczej skłonni są rozmówcę poinformować o swoich sukcesach w dziedzinie specyficznej biurowej techniki spędzania czasu, przebrnięcia jakoś przez te siedem — osiem godzin.

Lektura (w tym obowiązkowo lektura gazet), rozmowy, wewnątrzbiurowe odwiedziny, telefony i inne formy współżycia towarzyskiego stanowią w tej technice elementy najbanalniejsze.

Nie sugeruję tu nijakich uogólnień. Są biura pracujące z nadzwyczajnym natężeniem. Są w każdym z innych biur ludzie harujący ciężko owe osiem godzin lub więcej, i inni o średniej ilości zajęć, i jeszcze inni, nie bardzo wiedzący, co robić z czasem.

Jedno jest pewne: biurowa nuda i brak pracy dla licznych etatowych urzędników jest problemem realnym, społecznie istniejącym, występującym masowo i zdawną dostrzegalnym i opisywanym. Niestety, raczej w felietonikach obyczajowych o petencie i urzędniczej herbatce.

Osiem godzin nieróbstwa umiejscowionego w biurze przy systemie przywiązania człowieka do jego biurka — jest równie męczące jak intensywna praca, albo może i bardziej. To jest rzecz udowodniona. Przyzna to każdy znudzony. Niemniej biura wykazują niezwykłą odporność w ujawnianiu rzeczywistego obrazu pracy. Nieróbstwo jest starannie maskowane. Przyczyna tego jest oczywista: wszelkie ujawnianie bezużyteczności zatrudniania jakiejś tam ilości pracowników prowadzi do redukcji i każde badanie tych rzeczy jest dokonywane zawsze bezpośrednio w tym celu, żeby zwolnić i zlikwidować kilka etatów.

Wobec tego wykluczone jest współdziałanie biura z władzą nadrzędną w dziedzinie analizy systemu pracy. Obie strony są antagonistami w trwającej rozgrywce. Atmosfera ta zaś uniemożliwia osiąganie pozytywnych wyników w dziedzinie prac analitycznych na temat organizacji, podziału i intensywności pracy.

Wykrycie rezerw czasu służyć zaś może nie tylko redukcjom. Również, na przykład, rozszerzaniu zakresu działalności biura, objęciu przezeń jakichś dodatkowych zadań. Myślę, że ten cel nie spotkałby się na ogół z odporem półbezrobotnych posiadaczy etatu. Nieróbstwo w biurowym uwięzieniu jest bowiem pracą — jak już wspomniałem, nadzwyczaj męczącą.

Drugi cel, do którego prowadzić mogą badania analityczne — to równomierniejsze rozłożenie pracy na wszystkich zatrudnionych w danym biurze. Wydaje się, że takie zamiary badany personel przyjąłby już z zadowoleniem graniczącym z entuzjazmem.

W każdym biurze zaobserwować można bowiem z żelazną wprost regułą, którą oczywiście potwierdzają liczne wyjątki, że im kto wyższą i odpowiedzialniejszą piastuje funkcję — tym ma więcej pracy i vice versa.

Nie jest to wcale takie prawidłowe, jak by się wydawało, ani takie niezbędne, ani takie sensowne. Rzecz polega na skupieniu odpowiedzialności w jednych rękach. Zazwyczaj szef tylko jest władny wszystko załatwić i o wszystkim decydować. Jeśli nawet sprawę załatwia urzędnik niższego szczebla, to tylko pozornie. Wysłuchawszy petenta pobiegnie on do szefa i ten „od A" zapozna się ze sprawą, wyda decyzję, podpisze papierek, sam go nawet często podyktuje. W niejednym biurze wydaje się, że wszyscy pracownicy są tylko rodzajem pośredników, wiążących procedurę załatwiania sprawy odbywającą się w gruncie rzeczy na linii szef-petent.

Z dziennikarskiej swojej praktyki np. wiem, że przychodząc do jakiejkolwiek instytucji, w najbłahszej bodaj sprawie (podanie jakiegoś adresu, cyfry nie stanowiącej tajemnicy, czegokolwiek) muszę iść wpierw do szefa pogadać sobie z nim, on wezwie pracownika i dopiero wówczas dopnę swego, marnując sporo własnego i jeszcze więcej cudzego czasu. A niech tylko zapragnę szefa oszczędzić i zwrócę się wprost do urzędnika trzymającego w ręku interesujące mnie sprawy, Dyrektor się obrazi, ja zaś nic nie uzyskam.

Dyskutowana była ongiś sprawa szyby wystawowej każdego biura pt. sekretarka. Cóż to za ahumanistyczny system trzymania przez tyle godzin za biurkiem kobiety, która nie ma nic do roboty, wyjąwszy łączenie rozmów telefonicznych z dyrektorem i regulowanie ruchu interesantów. Z zasady dyktuje się jej nawet wszystkie pisemka, mimo, że z powodzeniem mogłaby je sama pisać po prostu tyle setek lub tysięcy analogicznych już przepisywała że automatycznie potrafi je sformułować.

Są to uwagi luźne i laickie. Autor niewiele wie o biurze. Ma też świadomość, że sprawy te stanowią przedmiot badań naukowych instytutów, dla których formułowane tu spostrzeżenia i uwagi brzmią naiwnie i nie konkretnie.

Cel wszakże tego wywodu jest skromny: skłonienie władz do odłączenia, dla celów taktycznych, sprawy analizy pracy setek łódzkich i tysięcy polskich biur — od sprawy redukcji. Tak, żeby można było robić porządek w atmosferze spokojnej i przy pozytywnej współpracy zainteresowanych. I rzecz druga: obalenie bożka pt. szef. Niechaj będzie to generalny koordynator, kontroler, mózg koncepcyjny, nie zaś jednoosobowe biuro posługujące się armią sił pomocniczych. Jednostkowa odpowiedzialność i kierownictwo — owszem. Ale niechaj będzie domeną większej ilości jednostek.

I jeszcze proponuję przeprowadzić taki eksperyment. Zapytać anonimowo jakąś ilość załóg biurowych: jak uważają, ile godzin rzeczywiście powinni pracować dla załatwienia wszystkiego, co stanowi przedmiot ich pracy. Urzędnicy eliminując życie towarzyskie w biurze (które chętniej prowadzić będą poza miejscem pracy) i równomiernie rozkładając między siebie obowiązki tudzież likwidując modę, że wycinek pracy równa się człowiek niezależnie od tego jak ten wycinek jest pracochłonny — odpowiedzą w pewnych wypadkach dwie godziny dziennie, w pewnych cztery, w pewnych sześć.

Każde biuro z entuzjazmem przyjęłoby zmniejszenie ilości godzin pracy szczerze zobowiązując się do niezmniejszania jej efektywności. Na generalne takie posunięcia nas nie stać. Raczej trzeba redukować personel i zwiększać zakres obowiązków biura. Ale w minimalnym zakresie są to rzeczy możliwe. Warto eksperymentować. Człowiek wypoczęty lepiej będzie pracował przez sześć godzin niż przez osiem, z których cztery spędza na milczącej nudzie.

Szkoda czasu na urzędowanie. Lepiej go wykorzystać na pracę a resztę na życie prywatne.

Włączając się do ogólnoprasowego chóru, reklamowaliśmy przed kilku tygodniami książkę Brezy o Watykanie pt. „Spiżowa Brama". Jest tam rozdział o watykańskiej biurokracji: około trzystu osób administruje organizacją, obejmującą cały świat. Jedno „ministerstwo" liczy sobie 20—35 osób. Cztery czy pięć godzin pracy dziennie, około dwustu tylko dni roboczych w roku. Ścisły centralizm. I najlepsza administracja świata.

Polecam „Spiżową Bramę" jako doskonałą lekturę do biura. W tychże celach polecam niniejszy felieton, licząc na głosy w tej sprawie. Oczywiście szczere, czyli anonimowe.

MINĄŁ TYDZIEŃ

Zaplecze bez pleców ale z reumatyzmem

Z przyjemnością przeczytałem ubiegłego tygodnia w prasie i usłyszałem w radio wywiad z panem Włodzimierzem Reczkiem, który jest przewodniczącym Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Człowiek nabiera pewności siebie po takim wywiadzie. Spełnił się sen o potędze, jesteśmy wreszcie mocarstwem. Nie atomowym co prawda, ale sportowym, o czym świadczy dwadzieścia jeden medali i ponad stopięćdziesiąt punktów. Na serduszko kapie miód, miło tak siedzieć sobie przy radio w miękkich pantoflach, słuchać, co mówi przewodniczący, czytać, co prasa pisze. Jesteśmy godnymi potomkami Hellady i Romy, Spartan, Ursusów, gladiatorów i... proszę wybaczyć, nie jestem tęgi w starożytności. Zresztą duma tego rodzaju nie wymaga wiedzy, grunt, że zwycięża polska krzepa.

Rozpamiętując nasze narodowe sukcesy wpadłem niespodziewanie w złość. Bo i jakże to, Bydgoszcz wita — Krzyszkowiaka, Radom — Paździora, Poznań — Krzesińską, Łódź — Wieczorkównę, stolica bodaj Palińskiego a ja nic. Nie włączyłem się do wielkiej atmosfery, nie zaktywizowałem się, nie stałem, nie witałem, nie krzyczałem, nie kształtowałem jednolitej postawy. Wyrzutek, można powiedzieć, głupich paru groszy na medal dla Walaska pożałował. To, niestety, prawda. Kiedy społeczeństwo fundowało medal Kościuszce i Kołłątajowi, byłem jeszcze zbyt młody, aby w tym uczestniczyć, a teraz spóźniłem się i okazja wzięcia udziału w narodowym zrywie uciekła mi sprzed nosa.

Złość jeszcze nie minęła, kiedy przyszedł do mojej żony, nauczycielki, jeden taki dosyć sobie miły uczeń, licealista i zaczął tłumaczyć, że wcale nie chciał podłożyć nogi pani psorce podczas lekcji. Tylko nie mógł już wytrzymać w maleńkiej ławeczce, siedział przecież ładne parę godzin złamany w szyszorek i nie wytrzymał, musiał wyprostować nogi. A to już nie jego wina, że dla nauczyciela zostało w klasie pasemko węższe niż metr. Katedra nie zmieści się, krzesło też nie, więc nauczyciele chodzą, moja żona też, no i trafiła na jego nogi. Ostatecznie nic się przecież nie stało.

Złość opadła natychmiast. Pewnie, że nic się nie stało. Nauczycielka przeskoczyła nogi licealisty, dowodząc równocześnie wysokiej sprawności fizycznej, potomkin, amazonek, czy może Aspazji? Spojrzałem raz jeszcze na te nasze kochane „Sporty" i „Przeglądy Sportowe". Wynikało z nich, że sukcesy, mołojecka sława i wspaniałe zaplecze młodzieżowe. Spojrzałem na ucznia.

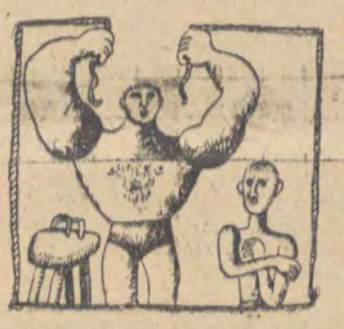

Wynikało z niego coś przeciwnego. Chudy tak, że chciałoby się to słowo napisać przez samo „h", zgięty, przygarbiony, bez piersi (w znaczeniu męskim, oczywiście) zupełnie nie podobny do zaplecza młodzieżowego. Pewnie nietypowy — pomyślałem w złości, która właśnie powróciła — a zgiń że wymoczku żałosny, co tu właściwie robisz w kraju z zapleczem młodzieżowym?

Ale potem zrobiło mi się żal chłopaka. Potem było jeszcze gorzej, ponieważ wpadło w moje ręce sprawozdanie pana doktora Tomasza Mrozowskiego, który jest dyrektorem naszej łódzkiej Przychodni Higieny Szkolnej. To sprawozdanie mówi o stanie zdrowotności i usportowienia młodzieży. Rad nierad musiałem pomnożyć tego sympatycznego wymoczka z rodziny lichocefalitów (osobniki z długimi kończynami) o równe 40 procent. Tyle bowiem łódzkiej młodzieży ma zgoła niesportową postawę, wadliwą po prostu fizycznie, cierpi na boczne skrzywienie kręgosłupa. Tak jest, plus minus w całym kraju. A dalej — jeszcze gorzej.

wady wzroku	— 10%
wady mowy	— 6%
zaburzenia psychoneurologiczne	— 15%
choroba reumatyczna	— 30%
czynne choroby gośca	— 14%

I takie to jest zaplecze. Zerknąłem znowu do gazet: opieka nad młodzieżą, stadiony, supernowoczesne urządzenia, niańczenie, chuchanie, pieszczotki. Zerknąłem do sprawozdania: brak boisk dla młodzieży, brak sal gimnastycznych, pomieszczeń rekreakcyjnych, szkoły przetłoczone, o czym świadczą wspomniane już nogi licealisty, szkoły idą na dwie i trzy zmiany, gimnastyka na poziomie wczesnego paleolitu. Co zaś się tyczy nowoczesności — oświetlanie w szkołach bywa często kiepskie. Na 348 placówek nauczania i wychowania 84 miało kąpieliska (znaczy wanny i natryski) na papierze, w praktyce tylko 50. Stąd też 11 procent młodzieży hoduje na głowach gniazdka insektów, których nazwy wstydzę się wymienić.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Podziwiam wielkich sportowców, szanuję ich hart, samozaparcie, rzetelną pracę nad sobą, gratuluję sukcesów. Ale nie o to mi chodzi. Zerkam tu i zerkam tam. Do gazet i opinii lekarzy. Kto, na Boga, ma rację? Kto tu kogo buja? Jest krzepa, to wspaniałe zaplecze, czy ciężka sytuacja, którą trzeba przezwyciężyć? Zapraszamy do dyskusji. Przede wszystkim zapraszamy optymistienków z pism i kolumn sportowych. Bujdę na resorach można zawsze znaleźć przy pomocy prawdy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ZABAWY PRZYJEMNE i POŻYTECZNE

Czy Janina K. poleci na księżyc?

„Marzeniem moim od lat najmłodszych było zostać lotniczką. Chcę lecieć w Kosmos i mam nadzieję, że wrócę stamtąd. Zabierzcie mnie ze sobą! Wiem, że jest wiele takich chętnych, ale musicie wziąć pod uwagę, że ja m u s z ę lecieć!"

Tak pisze Janina K. Pani — chyba raczej jednak panna? — Janina K. mieszka w Krynicy, jej list otrzymał radziecki profesor, Leonid Siedow, zwany ojcem sputników. O Siedowie i o innych twórcach rakiet kosmicznych pisze w ostatnim numerze „Dookoła Świata" Ryszard Badowski w reportażu „Kolektyw X". W reportażu Badowskiego, obok listu Janiny K., można przeczytać również listy innych ochotników, gotowych wybrać się w podróż międzyplanetarną, a także — obok informacji o fizyku Siedowie, fizjologu Pokrowskim i astrofizyku Kukarinie — życiorys Ary Sternfelda, autora „Initation a la Cosmonautique", czyli „Wstępu do kosmonautyki". Życiorys wysoce interesujący, bo Ary Sternfeld urodził się w Sier[illegible], studiował w Krakowie i w Nancy, „Wstęp do kosmonautyki" opublikował w roku 1937 w Związku Radzieckim, a napisał go w Łodzi. Fragment wspomnień Sternfelda, cytowany w reportażu Badowskiego wart jest przepisania:

„Lata 1932—33.

W ciągu półtora roku siedzę po 12 godzin na dobę za olbrzymim stołem w oficynie domu na rogu Śródmiejskiej i Wólczańskiej (gdzie była apteka Rozenbluma) i piszę „Initation a la Cosmonautique". Najwięcej czasu pochłaniają obliczenia, dużo obliczeń..."

Przez 15 lat, dwa razy dziennie, a niekiedy cztery albo i sześć razy dziennie, przechodziłem obok domu na rogu Śródmiejskiej i Wólczańskiej. Co pewien czas wstępowałem do mieszczącej się tam apteki. Nie słyszałem nigdy o Ary Sternfeldzie. Mijając dom, w którym niegdyś mieszkał, myślałem o czekającej mnie klasówce z algebry, albo o tym, że czas już oddać koszule do znajdującej się o kilka domów dalej — idąc w kierunku Gdańskiej — pralni. Teraz, mijając ten dom, będę myślał o Janinie K. Życzę jej jak najlepiej, mam nadzieję że poleci na Księżyc. Wszystkim tym, którym nie wystarcza ich miasto, ich ulica, ich dom, tym, którzy wybierają się na Księżyc za przykładem Janiny K., polecam — do przeczytania i przetrawienia — jedną z myśli nieuczesanych Stanisława Jerzego Leca, którą wyjmuję z ostatniego numeru „Przeglądu Kulturalnego". Oto ona:

„Kiedy człowiek pokona przestrzeń międzyludzką?"

Zawód heroiczny

We „Współczesności", dwutygodniku młodych warszawskich pisarzy, poeta Roman Śliwonik powiada, że poeta, to zawód upokarzający. Sądzę nieco inaczej, posłuchajmy wszakże racji młodego poety. Oto zjawił się on w wielkim wydawnictwie....

„...ściska tom pod pachą i to jest moment pierwszy, kiedy chciałby się zapaść pod ziemię, moment pierwszego upokorzenia. Pisanie wierszy jest sprawą w ogóle żenującą. I teraz siedzi ze swoim zażenowaniem naprzeciw zmęczonego redaktora. I czas, który strawił na pisanie wierszy, wydaje mu się tą martwą perspektywą, raptem czuje się samotny i śmieszny."

Dalej Śliwonik wdaje się w relacjonowanie swoich perypetii osobistych. Pisze:

„Przed ośmioma bodajże miesiącami złożyłem w „Iskrach" tom wierszy, otrzymałem recenzję nakłaniającą do wydania tomu, uwzględniłem uwagi recenzenta, równocześnie otrzymałem propozycję zgłoszenia się po wakacjach. Zgłosiłem się po wakacjach i zaczynają się rozmowy o styczniu. Proszę nie traktować tego jako użalanie się."

Nie traktujemy. Współczujemy. Poeta czuje się niepotrzebny i samotny, nie należy kpić z poety, sprawa — wbrew pozorom — jest dużej wagi, zły to naród, który upokarza swych poetów. Śliwonik mówi jednak tylko pół prawdy, zły to poeta, który upokarza swój naród, mówiąc mu tylko pół prawdy. Ludzie (czyli naród) są, jak sądzę, skłonni do podjęcia próby porozumienia z poetami. Nawet z tymi najtrudniejszymi. Chodzi o to, by i poeci zechcieli podjąć próbę porozumienia. Co nie znaczy: by zechcieli pisać łatwiej. Co znaczy: by zechcieli pisać trudniej. Ludzie chcą usłyszeć całą prawdę o doświadczeniach współczesnego poety. Prawda jest trudniejsza. Przeto zawód poety, to zawód heroiczny.

ERAZM

Tym razem nie sprawdziło się stare przysłowie: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Liczna grupa specjalistów wydała rzecz świetną i wielce potrzebną. Oto ukazał się turystyczny przewodnik po Polsce *). Najpierw w języku angielskim. Zapowiada się taką samą publikację po francusku. Później po polsku.

Ten obszerny baedecker to, jak sądzę, niemały powód do dumy, ale też fakt tak późnej publikacji o podobnym charakterze, to przecież niemały powód do wstydu: dlaczego dopiero w roku pańskim 1960 odkrywa się Polskę turystyczną dla cudzoziemców? Piszę: odkrywa, bo dla zachodniego turysty obracanie się po obcym kraju, szczególnie słowiańskim, gdzie jak mniema częstokroć, tubylcy przebiegają miejskie i wiejskie traktaty w niedźwiedzich skórach z maczugami w dłoniach, a w lipcu gruby kożuch na barki trzeba zakładać i dłońmi o dłonie sprężyście uderzać, by od mrozu i syberyjskich wiatrów nie paść martwym, otóż dla zachodniego turysty obracanie się po takim kraju bez przewodnika turystycznego, to prawie to samo, co wstąpienie w dżunglę afrykańską bez uprzedniego zaszczepienia się przeciw tężcowi.

Nie przesadzajmy. Język jest najlepszym ponoć przewodnikiem, lecz w dobie dzisiejszej, w dobie turystyk masowych i indywidualnych, auto-stopów i innych peregrynacji szczegółowy opis trasy, indeks miejscowości, plan sytuacyjny, mapa, etc. to rzeczy wagi pierwszorzędnej. Poza tym: nie łudźmy się. Usystematyzowanie wiedzy o kraju tak, jak to uczyniono w rzeczonej publikacji odkrywa często nie tylko dla obcokrajowców, lecz nawet dla przeciętnego obywatela rzeczy nowe i niezwykłe, wytycza trasy, jakich nie zna przeciętny mieszkaniec, którego język w roli informatora zwodzi czasem, każe zbaczać o kilkanaście kilometrów, a nawet zamiast na północ, na wschód odsyła. Koniec końców najlepszym wykładem geografii jest „turystyka stosowana".

„Travel guide — Poland" to nie tylko zresztą rzecz ściśle turystyczna. Książka ta czy raczej zbiór książeczek zasługuje na miano podręcznej polskiej „encyklopedii-minimum". I tak: obok szlaków turystycznych, znajdujemy tutaj wiadomości z historii, literatury, sztuki, precyzyjne uwagi na temat folkloru polskiego, jak również słownik podręcznych terminów czy zwrotów polskich oraz, co nie jest najmniej ważne, króciutkie studium o kuchni polskiej. Lecz to nie wszystko: dodać należy jeszcze potrzebne bardzo informacje na temat spraw związanych z otrzymaniem wiz wjazdowych do Polski, adresy polskich placówek za granicą, reklamy polskich przedsiębiorstw i lokali gastronomicznych, rozrywkowych itd. Wszystko to uzupełnione kolorowymi ilustracjami, oraz kilkoma mapkami.

Przygotowując do druku publikację tego typu uczyniono dobrze, opierając się na obcych wzorach. Na Zachodzie, gdzie turystyka jest zbiorowym hobby, wykształcono kilka typów turystycznych przewodników książkowych. Jaki jednak przewodnik mógłby uchodzić za idealny? Zapewne taki, który nie zawiedzie przede wszystkim w sprawach geografii, wytyczy należyte trasy, poda dokładne dane co do odległości między miastami, zamieści plany miast. To wymagania podstawowe, najistotniejsze. Można skądinąd zaryzykować twierdzenie, że każdy przewodnik książkowy powinien proponować niejako „własną turystykę". Zwykło się także dorzucać garść informacji na temat historii sztuki, zwyczajów miejscowych itd. Baedeckery francuskie nie rezygnują z anegdoty, plotki, które ożywiają relacjonujący tok opisu, lecz także pełnią niebłahą rolę wzbudzenia większego zainteresowania danymi czy to miejscowościami, czy to samymi obiektami.

„Travel guide-Poland" jest bez wątpienia cackiem edytorskim. Oprócz niezwykle skrupulatnych informacji, interesujących planów zwraca uwagę estetycznie opracowana strona graficzna i przejrzysty układ wewnątrz poszczególnych części.

Wydawcy zaznaczają na wstępie, iż publikacja nie pozbawiona jest z pewnością błędów, które gotowi są w przyszłych wydaniach poprawić. Na dobrą sprawę trudno byłoby im coś bardzo istotnego zarzucić. Spróbujmy jednak zwrócić uwagę na kilka spraw. Przede wszystkim, jak myślę, celowe byłoby zamieszczenie mapy Europy środkowej. Nie zapominajmy bowiem, iż dla wielu „trzeźwo" myślących etranżerów Polska nie leży w Europie. W związku z tym, rzut oka na mapę uzmysławia natychmiast, że z Warszawy nie tak znowu daleko ani do Pragi, ani do Berlina, a i Wiedeń nie leży na antypodach. Taka mapa przywraca więc szybko świadomość, że stąpa się po starym kontynencie. Ta sprawa mniej istotna dla turystów podróżujących samochodem, bardziej istotna jest dla tych wszystkich, którzy mogą przybywać do naszego kraju drogą powietrzną.

Sprawa druga: w części I (General informations about Poland) znajduje się tylko mapa fizyczna Polski, co prawda w końcowej partii tejże części, w dziale „Transit routes and more important indoor connections" podano i starannie opracowano na planach 19 tras, jednakże wydaje mi się rzeczą nieodzowną uwzględnienie szczegółowej mapy automobilowej, a takiej mapy brak tutaj. 6 części (licząc od drugiej) uwzględnia 76 „dróg" (route) (nie ukazała się jeszcze część 7 — Water-Tourist — Route), dobrze byłoby jednak, aby synteza tego podziału szczegółowego znajdowała się wewnątrz przewodnika.

Sprawa trzecia: celową rzeczą byłoby dołączenie, powiedzmy na końcu pierwszej części względnie szczegółowych planów, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej głównych miast polskich. Przewodnik zamieszcza plany pewnych tylko części czy dzielnic, fragmentów, bądź daje ogólne zarysy całych miast. Jak jednak turysta francuski, znajdujący się na Pradze, odszuka małą uliczkę, na której znajduje się konsulat francuski?

Sprawa czwarta: wspomniałem wyżej, że każdy przewodnik książkowy proponuje w pewnym sensie „własną turystykę". Koniec końców zasada selekcji obowiązuje także i tutaj. Ograniczony czasem, turysta zagraniczny pragnąłby zobaczyć rzeczy i miasta czy miejscowości najsłynniejsze, najbardziej na to zasługujące. W tym względzie pomocnym mu może być właśnie baedecker, który proponuje taką czy inną trasę, ze szczegółowym wyliczeniem dni, a nawet godzin. Praktykują to przewodniki książkowe obce, proponując trasę na 12, 18 czy 20 dni. Takie projekty winny dotyczyć bądź całego kraju, czy, częściej, głównych jego regionów, nie zaś tylko poszczególnych miast.

Sprawa piąta: przewodnik książkowy tego typu winien zawierać adresy obcych placówek dyplomatycznych i konsularnych w Polsce. „Travel guide" nie uwzględnia adresów ambasad i konsulatów.

I sprawa szósta: chodzi o objętość, rozmiar przewodnika. Składa się on z 7 części. Pierwsza, najdłuższa część jest wprowadzeniem. Każda z pozostałych liczy przeciętnie niewiele ponad 100 stron. Prawie identyczne rozmiary posiadają słynne przewodniki francuskie, wydawane przez znaną agencję turystyczną „Michelin". Mam oto przed sobą taki przewodnik po Włoszech. Rozmiar, jako się rzekło, prawie identyczny. Uwzględniono nie tylko cały półwysep Apeniński, lecz także Sycylię. Nie pominięto ani spraw kuchni włoskiej, ani sztuki, rzecz oczywista, architektury, ani ekonomii, historii, słowem pomieszczono bez mała materiał taki sam, jaki znajduje się w naszym przewodniku. Indeks alfabetyczny, zamieszczony na końcu wymienia ponad 800 miejscowości i miast uwzględnionych w przewodniku. Cała książeczka wraz z indeksem liczy sobie 254 strony.

Z punktu widzenia codziennej praktyki życiowej, „Travel-guide" nie spełnia należycie swojego zadania. Siedem części, każda egzystująca niezależnie od drugiej, w oddzielnej książce! Jak łatwo zgubić którąś z nich, jedną zostawić w restauracji, drugiej zapomnieć w samochodzie trzecią upuścić po drodze. To prawda, nasz „Travel guide" zawiera materiał bardzo obszerny lecz czy nie byłoby celowe zmniejszyć rozmiar, zredukować owych siedmiu ślicznych bo ślicznych książeczek do, grubych, lecz dwóch tylko? To propozycja pod rozwagę.

„Travel-guide" ukazał się z okazji zbliżającego się Milenium. Fakt ten upoważniał częściowo do szerszego potraktowania takich działów np. jak historia. Proporcja nie została jednak zachwiana. Jest to przede wszystkim turystyczny przewodnik po Polsce. Jako taki znakomicie spełnia swą rolę. Jest, jak wyżej rzekłem, cackiem edytorskim, o zdumiewająco obszernym materiale. Wypełniono tą publikacją niezwykle ważną zaległość kulturalno-praktyczną.

Oby więcej takich rzeczy, oby w większych nakładach (nakład „Travel-guide": 5660 egzemplarzy), oby w wielu językach.

*) Travel Guide Poland, Agpol, Warszawa 1960. 1) General informations about Poland. 2) Tourist region-Central-Eastern Poland. 3) Tourist Region-Nothern Poland. 4) Tourist region-Western Poland. 5) Tourist region-South-Eastern Poland. 6) Essential information. 7) Water Tourist Route.

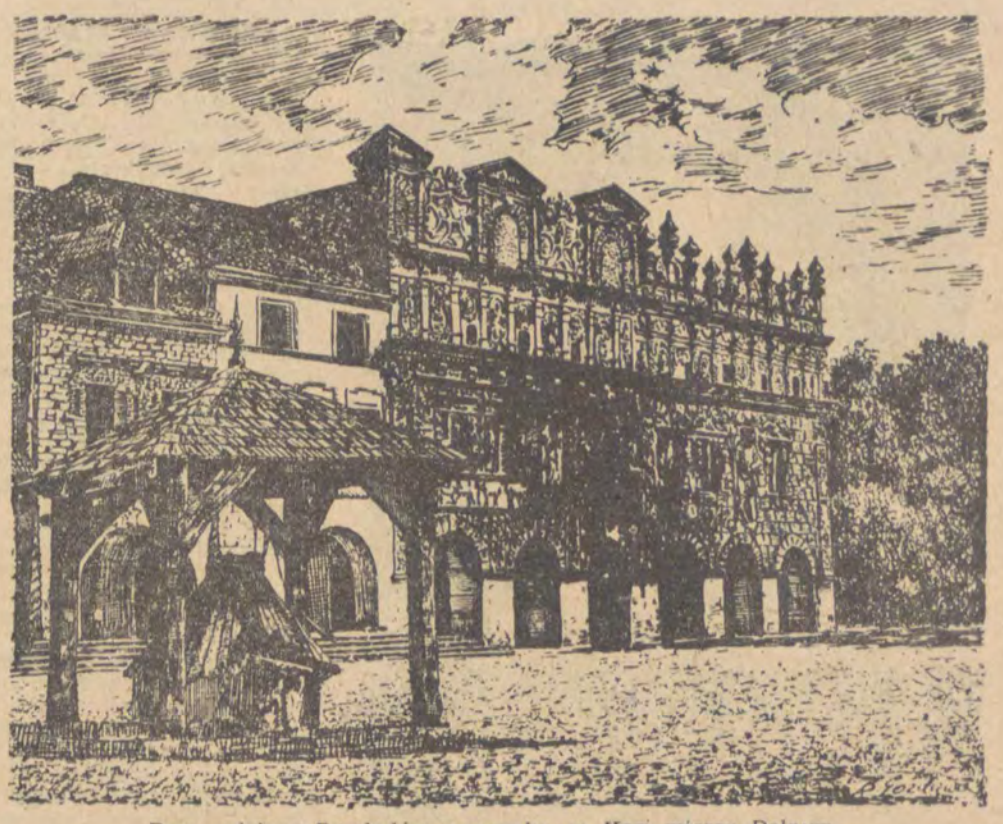

Dom rodzinny Przybyłów na rynku w Kazimierzu Dolnym.
(Str. 85, t. V)

Wieża piastowska w Cieszynie.
(Ze str. 43, t. V)

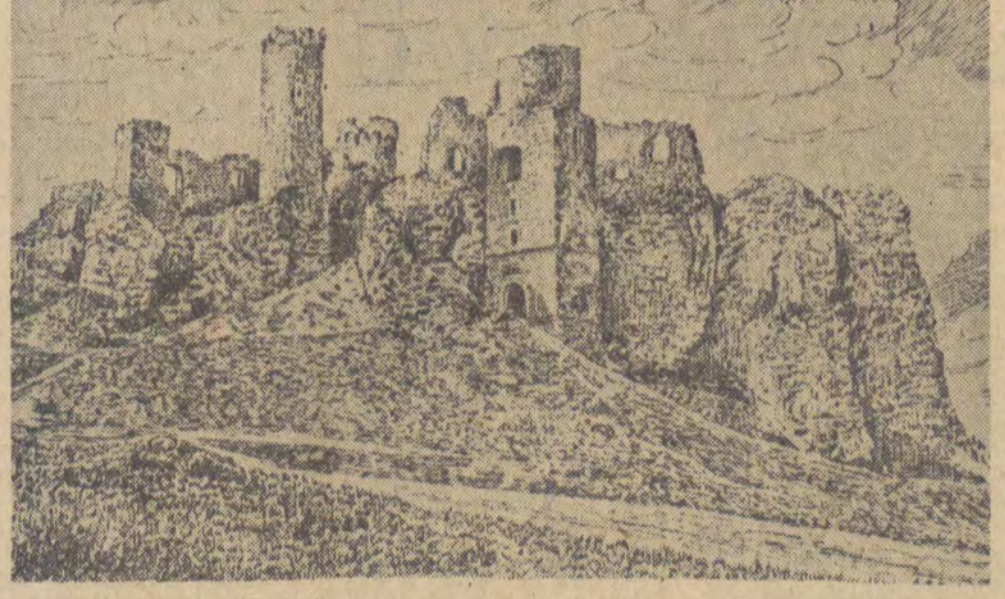

Ruiny zamku w Ogrodzieńcu.
(Str. 29, t. V)

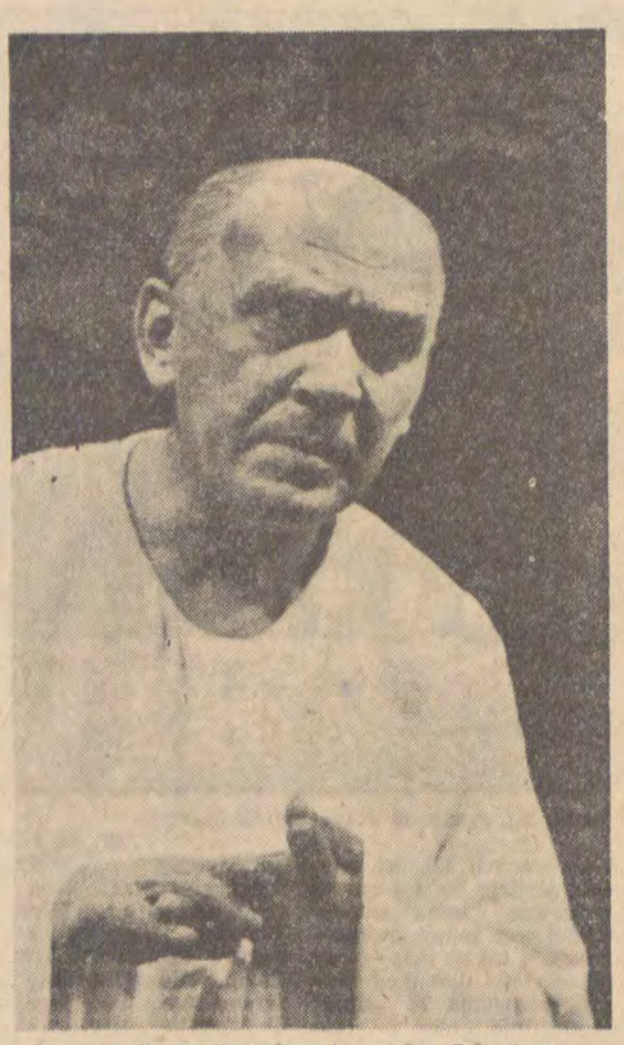

Seweryn Butrym wygłaszający tekst Sokratesa.
Foto: G. Puciato

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

SOKRATES
umierający

Zimno doszło już prawie do połowy ciała, gdy Sokrates, obnażywszy się — był bowiem przykryty — wyrzekł — były to ostatnie jego słowa: Krytonie! winniśmy koguta Asklepiosowi. Tak kończy się „Fedon", ostatnie zdanie Sokratesa wymaga podobno komentarza, proszę. komentarz do wydania polskiego z roku 1907 podaje: **rekonwalescenci zwykle składali w ofierze Asklepiosowi koguta. Umierający przeto Sokrates chce dać poznać, że uważa śmierć za wyleczenie się z długiej choroby**

Komentarz jest zapewne poprawny, także dość przekonywający, można go wszakże przyjąć lub odrzucić, można też zaproponować zastąpienie go innym komentarzem. Można również zaproponować rezygnację z komentarza. Platon był także dramaturgiem, i to dramaturgiem wyśmienitym, możemy więc założyć, że chciał ofiarować coś wyobraźni czytelnika, wiedział, że tej wyobraźni też się coś należy, że czytelnik lubi przemilczenia, zdania niejasne, niedopowiedziane i aluzyjne, nic nie znaczące i znaczące zarazem. **Winniśmy koguta Asklepiosowi,** poszukiwanie jedynego sensu jest daremne, pozostawmy je przeto filologom klasycznym i filozofom, propozycja wielu znaczeń należy do artystów. Kazimierz Dejmek, inscenizując „Obronę Sokratesa" a także fragmenty „Kritona" i „Fedona" na małej scenie swego teatru, poczynił wszakże w tekście niezbędne skróty, przy okazji wypadło także owo zdanie, szkoda, wydaje mi się, że jest ono kluczem do roli Sokratesa, za co ten kogut i komu ten kogut, na to pytanie aktor musi, mimo wszystko, odpowiedzieć.

Sokratesa gra na małej scenie Seweryn Butrym. Albo, jak chce afisz, tekst Sokratesa wypowiada Seweryn Butrym. Nie jest to zupełnie zgodne z prawdą, bo Butrym gra, choć gra oszczędnie, oszczędniej niż Józef Pilarski (Kriten) i — bardzo zresztą prosty i wzruszający — Janusz Kubicki (Fedon).

Winniśmy koguta Asklepiosowi, zdanie jest przemilczane, ale widzimy przecież, że Sokrates jest chory, śmiertelnie chory. Śmierć nie jest wszakże dla niego wyleczeniem się z choroby, Sokrates, taki jakim zobaczył go Butrym, nie jest chory na życie, jest chory na śmierć, powiedzmy więcej, lęka się śmierci, choć ten lęk zepchnięty jest w głębokie studnie, skryty przez słowa, słowa, słowa. Słowa szydercze, słowa gniewne, słowa heroiczne, Sokratesa nawiedzają pasje, kiedy wyciąga z tłumu Meletosa i szydzi z niego, zapomina o lęku, kiedy dyskutuje z Kritonem wagę praw, zapomina o lęku. Na chwilę nie na dłużej, bo oto pasje odchodzą i pozostaje człowiek, który się boi. Jeszcze argumentuje, jeszcze walczy ale już wie, że przegrał, racje Meletosa należy brać pod uwagę, nie są to racje najbłahsze, Sokrates deprawuje młodzież, albo Sokrates nie uznaje bogów państwowych to brzmi groźnie, to jest oskarżenie. Sokrates broni się dość nieudolnie, z każdego zdania obrony wynika, że jednak nie uznaje bogów państwowych, wezmą to pod uwagę sędziowie, wydając wyrok, powiedzmy inaczej, to Sokrates sam na siebie wydaje wyrok, i wie o tym i lęk objawia się przecież, może przez gest, choć Butrym unika gestu: może w wyrazie twarzy, może w spojrzeniu, może w pochyleniu, pleców.

Była to dziwna kopalnia dusz, powie potem Rilke, starożytni odwiedzali ją chętnie, dotarł tam Odys, wrócił stamtąd Orfeusz, Hades przyciągał, i nic w tym dziwnego, wierzono przecież w bogów państwowych i spodziewano się spotkać w owej kopalni grono znajomych, którzy już rozwiązali zagadkę bytu. Sokrates nie wierzy jednak w bogów państwowych, a są nawet pewne przesłanki, by twierdzić, że niedaleki jest od wiary w Boga jedynego. Stąd lęk, co będzie potem, Butrym bezbłędnie uchwycił sytuację człowieka, który jest już tam, a jeszcze nie przekroczył progu, który wciąż jeszcze waha się i wybiera, choć wie, że wszystko jest już poza nim i że wybór został dokonany. Trzeba więc umrzeć, **winniśmy koguta Asklepiosowi,** może Sokrates chce dać poznać, że został wyleczony z bytu, może trochę jednak liczy na bogów państwowych, a może chodzi o zaległą ofiarę, chorował przed laty, jest winien koguta, śmieszny dług, trywialne życie triumfujące w chwili śmierci, wyrównywanie rachunków na moment przed końcem. Szkoda, że Butrym nie wypowiada tego zdania. I tak przecież ofiarował nam piękną rolę. Dziękuję.

„Buchalter śmierci" i jego
TOWARZYSZE

Pan Friedrich Tillmann, kierownik Domu Górniczego im. św. Barbary w Castrop-Rauxel, cieszył się nienaganną opinią. Słynął przy tym z pobożności, co ocenił sam biskup Ruhry, J. E. ks. dr Hengsbach, udzielając mu podczas jednej z pasterskich wizytacji ojcowskiego błogosławieństwa i zaszczycając wspólną fotografią. Jakież było więc zdumienie mieszkańców górniczego miasta, kiedy dowiedzieli się o aresztowaniu pobożnego jegomościa. A osłupieli całkiem, kiedy wścibska prasa doniosła, że ów opiekun młodzieży był w swoim czasie jednym z najbliższych współpracowników osławionego dr Heyde.

Profesor dr Werner Heyde, hitlerowski pełnomocnik do spraw eutanazji, aż do roku 1959 ukrywał się w Szlezwiku pod nazwiskiem dr Sawade i pełnił odpowiedzialne funkcje w miejscowym sądzie krajowym. Pan Tillmann — inaczej niż były szef — nawet nie zmieniał nazwiska. Legitymując się dokumentem stwierdzającym, że w latach 1934—1945 zajmował stanowisko dyrektora domów sierot w Kolonii, urzędował bez trosko na niezbyt wpływowych ale przecież ciepłych posadach w różnych miejscowościach Nadrenii.

Wszystkie dawne i świeże zasługi nie uchroniły go jednak przed dociekliwością władz. Wyszło na jaw, dość późno co prawda, że dyrektorem sierocińców był tylko z nazwy. W rzeczywistości kierował fikcyjnym urzędem stanu cywilnego i na tym stanowisku pozostawał w dyspozycji Wspólnoty Pracy Zakładów Leczniczych i Opiekuńczych Rzeszy.

Ową „Wspólnotę" założono po 1 września 1939 roku, kiedy Hitler nakazał rozszerzyć uprawnienia lekarzy wyszczególnionych na imiennej liście „*by mogli — według najlepszej wiedzy ludzkiej i po najbardziej krytycznym zbadaniu stanu zdrowia pacjentów — obdarzać nieuleczalnie chorych miłosierną śmiercią*".

Zarządzenie to — nigdy nie ogłoszone publicznie jako prawo — wprowadzało w istocie zasadę eutanazji nieuleczalnie chorych. Był to pierwszy krok w realizacji programu likwidowania „darmozjadów" oraz ludzi przynależnych do niepożądanej narodowości — Żydów, Polaków, Rosjan czy Cyganów.

Według ogłoszonej po wojnie realizacji dr Karla Brandta, lekarza osobistego Hitlera, zgodnie z tym programem uśmiercono ponad 60 tysięcy osób. W tym celu zorganizowano trzy zamaskowane instytucje:

- *Wspólnotę Zakładów Leczniczych i Opiekuńczych*, która na podstawie kwestionariuszy zajmowała się weryfikowaniem i rejestrowaniem ofiar eutanazji.
- *Ogólną Organizację Służb*, której podlegał personel zakładów straceń. Otrzymywali tam wynagrodzenie zarówno pracownicy naukowi jak też funkcjonariusze komór gazowych.
- *Międzyzakładowe Przedsiębiorstwo Transportu Chorych*, które zajmowało się przewożeniem chorych z klinik i szpitali do miejsc straceń. Przedsiębiorstwo posługiwało się szarymi autobusami o zasłoniętych oknach.

W chwili aresztowania Tillmann wcale nie krył, że pracował we Wspólnocie jako siła biurowa. Prowadził on nadzór nad wysyłką dokumentów z fałszywymi danymi o przyczynach i rodzaju zgonu ofiar eutanazji.

Do pracy tej — jak okazało się zaraz po rozpoczęciu akcji w pierwszych dniach wojny — potrzebny był doskonały fachowiec w zakresie administracji. Zdarzyło się bowiem kilka przykrych doświadczeń. I tak w okręgu Ansbach doniesiono kierownictwu partii, że rodzina jednego z umysłowo chorych otrzymała przez pomyłkę aż dwie urny z prochami zmarłego. Inną rodzinę powiadomiono, że przyczyną śmierci było zapalenie wyrostka robaczkowego, podczas gdy pacjent od dawna go nie posiadał.

Tillmann nie zawiódł, był człowiekiem na właściwym miejscu. A teraz czeka na proces przed sądem w Dortmundzie. Ale w gruncie rzeczy był w tej sprawie tylko pionkiem, jedynie doskonałym „buchalterem śmierci". Jeżeli nie dowiodą mu innych przewinień, może się nie obawiać wysokiej kary. Tym bardziej, że...

Sądy niemieckie bardzo jakoś pobłażliwie traktowały do tej pory głównych winowajców, którzy brali bezpośredni udział w akcji uśmiercania. Jednakże, w związku z bliskim procesem dr Heydego, sprawkami ich musiały się ponownie zainteresować władze śledcze. Znalazł się bowiem człowiek, który przysięgał, że uczyni wszystko, co możliwe, by winni nie uszli zasłużonej kary. Człowiekiem tym jest siedemdziesięcioletni dr. Rudolf Degkwitz.

Dr Degkwitz, były profesor Uniwersytetu w Hamburgu, światowej sławy specjalista chorób dziecięcych i gruźlicy, był w Niemczech hitlerowskich szykanowany jako antyfaszysta. Po wojnie, zaproszony do pracy w Stanach Zjednoczonych, wyjechał w roku 1948 do Ameryki, gdzie przez jedenaście lat pracował naukowo. Przed wyjazdem jednak przekazał władzom śledczym listę osiemnastu lekarzy z Rothenburgsort, którzy złamali prawo i etykę lekarską, biorąc czynny udział w akcji eutanazji. Po powrocie do Niemiec, dowiedziawszy się o sprawie dr Heydego, zainteresował się losem jego współpracowników. I stwierdził z przerażeniem, że nadal znajdują się na wolności, a niektórzy z nich zajmują nawet wysokie stanowiska w służbie państwowej NRF. Wystosował więc pismo protestacyjne do panów Maxa Brauera, nadburmistrza wolnego hanzeatyckiego miasta Hamburga, oraz Kai-Uwe von Hassel, prezesa ministrów Szlezwik-Holsteinu.

F. Tillmann i biskup Hengsbach

— *Nie wolno dopuścić* — pisał — *żeby pomocnikom śmierci* (pomocą w śmierci, „Sterbehilfe" nazwali naziści eutanazję) *uszła bezkarnie zbrodnia. Nie mogę sobie wyobrazić, jak lekarze mogą liczyć na zaufanie pacjentów, jeżeli nie pociągnie się do odpowiedzialności ich kolegów, którzy złamali prawo...*

Szpital dziecięcy w Rothenburgsort nie stanowił jakiegoś wyjątku. Po wyjściu zarządzenia o eutanazji poczęto oswobadzać z „darmozjadów" domy starców, zakłady dla nerwowo chorych i kliniki dziecięce. Wybór ofiar pozostawiano swobodnej ocenie lekarzy.

W aktach szpitalnych, w kwestionariuszach rejestracyjnych ofiar znajdowano w rubryce „diagnoza lekarska" adnotacje: „fanatyczny wróg ustroju" lub „wysoki funkcjonariusz Komunistycznej Partii Niemiec". U dzieci wystarczała już uwaga „fałda mongolska" (charakterystyczna fałda nad okiem, której nie posiadają ludzie rasy białej) albo „źle ukształtowane uszy", żeby skazać na śmierć te „rasowo bezwartościowe istoty". Znane są również przypadki, że usypiano luminalem dzieci trudne do prowadzenia lub moczące się w nocy.

Dr Rudolf Degkwitz

Dr Werner Catel

Wymieniając imiennie osiemnastu lekarzy-morderców z Rothenburgsort — dziesięć kobiet i ośmiu mężczyzn — dr Degkwitz wskazywał dwóch głównych winowajców, dyrektora szpitala dr Wilhelma Bayera oraz pediatrę dr Wernera Catela. Podnosząc ich sprawę ponownie powołał się na swoje pierwsze zeznanie, które — jak sądził — władze zignorowały. W tym się jednak mylił.

Już w roku 1949 całą gotową paczkę postawiono w stan oskarżenia. Jednakże wkrótce po tym postępowanie sądowe umorzono. Co prawda, jak widać z akt sprawy w wydziale I karnym sądu krajowego w Hamburgu, śledztwo wykazało, że:

- w szpitalu dziecięcym w Rothenburgsort uśmiercono co najmniej 56 dzieci.
- uśmiercenie tych dzieci było sprzeczne z prawem.

Mimo to sąd nie dopatrzył się winy oskarżonych i nie znalazł możliwości wszczęcia przewodu, ponieważ:

„Ani jeden z oskarżonych nie przyznał się do winy. Dwaj z nich zaprzeczyli jakoby kiedykolwiek przekroczyli prawo. (Byli to dr Struve i dr Sieveking, bratanek byłego nadburmistrza i ojciec burmistrza Hamburga dr Kurta Sievekinga). *Pozostali oświadczyli, że działali w zgodzie ze swoim sumieniem i nie widzieli w swoim postępowaniu naruszenia prawa".*

Na zakończenie tego uzasadnienia przewodniczący wydziału zaznaczył, że *„...skoro obwinieni nie mieli poczucia kolizji z prawem, nie można im udowodnić winy w ewentualnej rozprawie sądowej, Tak więc postępowanie należało uchylić".*

Pismem z dnia 21 lipca 1960 r. sąd krajowy w Hamburgu sprawę ponownie uchylił. Na pismo prezesa rady ministrów Szlezwiku sąd w Kilonii — gdzie mieszka dr Catel — nie udzielił dotąd odpowiedzi.

Tak więc dr Bayer nadal bez przeszkód praktykuje, a dr Catel awansuje. W tej chwili jest — zatwierdzonym przez chrześcijańsko-demokratyczne władze — wykładowcą Uniwersytetu w Kilonii, a równocześnie dyrektorem uniwersyteckiej kliniki dziecięcej.

Co więcej, dr Catel dał się ostatnio poznać jako poeta. Wydrukował niedawno poemat o śmierci.

— *Boicie się jej, tego chytrego Merlina, tego ognistego zalotnika?... Objawom tym dajcie przeminąć...*

Zaiste, złą taktykę przyjął dr Heyde. Po co zmieniał nazwisko, nie może się teraz tłumaczyć, że nie miał poczucia kolizji z prawem. A tyle jest jeszcze wysokich stanowisk do obsadzenia...

Tyle pisze o sprawie hamburski „Der Spiegel". Ale wniosków nie wyciąga nie wie, co o tym sądzić. My — wiemy.

Opracował K. J.

GRACZE

Dokończenie ze str. 1

wszyscy albo nikt. Usiłowano już raz podzielić je na działki, ale wtedy część wsi powstała przeciwko takiemu świętokradztwu. Wysuwali argumenty, że łąki są wspólną własnością — bydło ma nieograniczoną ilość miejsca na wypas, a torf można kopać na dowolnym kawałku, wybierając co lepsze tereny do eksploatacji. Stąd ten upór i to pielęgnowanie „tabu" starych praw.

A więc jedynym gospodarzem na tym wielkim, przeszło 100-hektarowym obszarze wciąż jeszcze jest li tylko „matka natura". Część łąk zaległy bagna i trzęsawiska. Tam od wielu lat nie stanęła noga ludzka. Ponoć tylko „złe" wodzi na pokuszenie wśród bagien w ciemne bezksiężycowe noce. Jeszcze dziś krążą gadki o tym, jak błędne ogniki wabiły swym światłem zapóźnionych wędrowców. Żegnali się wtedy znakiem krzyża i szli śpiesznie w kierunku wsi, nie oglądając się za siebie.

Teraz ponoć zasadzki te czyhają już tylko na „gadzinę".

Ludzie boją się zbyt daleko zapuszczać na łąki. Zdarza się, że gdy rano pójdzie bydło na wypas, wieczorem nie można się doliczyć wszystkich sztuk. A i te sztuki, których nie wciągnie zdradzieckie trzesawisko, wyglądają nietęgo, bo choć szczypią trawkę na przeszło stu hektarowym obszarze to trawa ta, nienadzwyczajnych walorów niewiele daje korzyści. Łąki bowiem są zakwaszone. Pod lasem na samych krańcach tokują cietrzewie. Ten rzadki ptak lubi miejsca odludne i dzikie. Obecność cietrzewi jest synonimem pierwotnej dzikości.

Takie to rezerwaty zacofania leżały pod Wolą Wiewiecką i wydało mi się słuszne, że ludzie z kółka chcą zakłócić trochę ten błogi, pierwotny spokój natury.

Ale nie wszyscy są tego zdania. Gdy po uzyskaniu zezwolenia władz powiatowych w Pajęcznie, na łąkę wyruszył traktor, gromada kobiet zagrodziła drogę traktorzyście. Traktorzysta przemówił do nich ostro, chcąc zapewne dodać sobie animuszu. Kobiety rozjazgotały się tak strasznie, że już wolał zamilczeć, by nie dolewać oliwy do ognia. Nie ustąpiły nawet wówczas, gdy prezes oświadczył stanowczo: „Nie ma innej rady, ino damy znać na milicję. — Franek, skocz do Brzeźnicy" rzucił polecenie jednemu z gapiów.

Franuś pobiegł a kobiety spojrzały po sobie porozumiewawczo. Mimo wszystko z władzą żartów nie ma. Stały tak, niepewne co dalej czynić, gdy nagle jedna z nich wpadła na koncept. Postawiła na ziemi dziecko, które dotąd trzymała na rękach i przemówiła w te słowa: „Stójta tu i nie ruszajta się, ja duchem przylecę". Pobiegła w stronę wsi i nie minęły trzy pacierze, a wróciła znów w towarzystwie kilku mężczyzn. Jeden z nich niósł ze sobą... aparat fotograficzny.

— A teraz siadajta na traktorze, zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcie — komenderowała ta sama przedsiębiorcza niewiasta...

— Proszę bardzo, prezesie — zaprosiła stojącego na uboczu Stępnia, a gdy ten nie ruszył się z miejsca, dodała zjadliwie: „Za ważni jesteście, żeby tak razem z nami, co?

* * *

Milicja jednak nie przyjechała, uznała słusznie, że sprawa nie nadaje się do bezpośredniej interwencji byłaby to zbędna manifestacja, spór można załatwić polubownie.

— Przyślijcie nam kilka tych kobiet, to porozmawiamy — zadecydował komendant. Na posterunku kobiety upierały się, że chodziło tylko o zdjęcie. — „Bo to pierwszy traktor, który widzielim na łąkach" — mówiły. — „Taka ważna chwila, jak Bozię kocham". Gdy jednak komendant nie dał ka nie wstąpią i one, odpowiedziały zgodnym chórem, uroczyście: — „Póki życia, z nimi razem gospodarzyć nie będziemy. Nie, nie ma zgody, bo choć biedni jesteśmy, to swoją dumę mamy i tamtych o łaskę prosić nie będziemy, amen".

Takie było ich ostatnie słowo. Nie minęło czasu mało wiele, a te same kobiety, zgłosiły projekt założenia we wsi Wola Wiewiecka koła gospodyń wiejskich. Koło zostało zarejestrowane. Projekt zawiązania odrębnego koła rolniczego władze odrzuciły. Wiadomość o tym, że koło gospodyń nie ma, niestety, tak szerokich uprawnień, jak kółko rolnicze — kobiety przyjęły z dużym rozczarowaniem. Ich organizacja była więc tylko asem przeciwko karcie atutowej.

* * *

Oto, co wiedziałam już o Woli Wiewieckiej siedząc tak twarzą w twarz z tymi, którzy znali całą prawdę, a teraz patrzyli wyczekując, co im mam do powiedzenia.

Czy przyjechałam po to, by przypieczętować ich ostateczny triumf, czy też jestem rzecznikiem interesów tamtej grupy.

Oczywiście, że jestem za „nowym". Jestem za przełamaniem „odwiecznych" starych praw, jeśli są one nieżyciowe. Kółko rolnicze jest w naszym wypadku symbolem tego nowego. Choćby wziąć pod uwagę to, że łąki są zakwaszone, a członkowie kółka proponują nowe, korzystne sposoby uprawy.

Jednakże może się zdarzyć, że ludzie chcą pod szyldem słusznej sprawy uprawiać swoje małe interesy. Czy tu nie zachodzi podobny wypadek? Chcę znać tylko prawdę. Postanawiam więc grać w otwarte karty i... przegrywam. Przynajmniej początkowo. Bo skoro jestem dziennikarzem i skoro chcę znać prawdę, w ich interesie leży, by racja była po ich stronie. O racjach tych mówi Stępień. Twarz ma gładką, oczy bez wyrazu, jakieś takie bezosobowe. Przypomina raczej referenta z urzędu, lub co najmniej pracownika ze szczebla powiatowego. Jego słowa są równie bezosobowe. „— Chcemy — powiada — uprawiać łąki, bo trawa licha, paszy nie ma dla bydła i najwyższy czas, by doprowadzić ten bezpański obszar do kultury. Działamy w myśl wytycznych Partii i Rządu...."

Proponuję, aby zaprosić tu kilka kobiet z kółka gospodyń wiejskich, (może wyniknie coś wreszcie z tej konfrontacji?) Stępień zgadza się po krótkim wahaniu. Uprzedza jednak: „Nie sugerujcie się ich gadaniem, samego diabła potrafią zatrajlować".

Prezeskę, (tak ją tu nazywają), znajdujemy w otoczeniu kilku kobiet. Widziały pewno auto i „wiecują" teraz w opłotkach. Witają nas nieprzyjaźnie. Najwyraźniej podejrzewają, żeśmy się już zmówili.

Zanosi się na większą konferencję, a może i miting, bo prezeska rozkłada koc na trawie tuż przy drodze i ku nam ciągnie coraz więcej kibiców, stronników jednej lub drugiej strony. Wszyscy są uprzedzająco grzeczni, ale wiem, że wystarczy jedna iskierka i buchną ludzkie namiętności. Aby więc uprzedzić jakiekolwiek incydenty, proszę z góry: niech mówi tylko prezeska, niech mówi, dlaczego nie chcecie orać łąk.

— „Ano, bo tak., — zamyśliła się na chwilę, skubiąc trawę. — Teraz, wystarczy furtkę otworzyć, a bydło, gęsi i kaczki idą sobie na łąki i cały dzień mamy spokój. A jak zaorze, to gdzie bydło pognamy? Gdzie będziemy paść gęsi? Gdzie będziemy torf kopać? Wtedy będziemy musieli się pięknie kłaniać panu prezesowi i o wszystko prosić, a my nie chcemy, bo ani on nam brat, ani swat. Jemu zawsze było dobrze. Mówi, że siano będą dzielić równo, ale jakże nam wierzyć, kiedy już raz chcieli nas wykołować na tym podziale łąki. A teraz też oszukują, bo jak podpisy zbierali, kto jest za tym, żeby orać, to nawet nieboszczyków wskrzesili, żeby tylko było więcej..."

Stępień czerwieni się aż po czubki uszu i replikuje z pasją.

— A o tym to nie mówisz, że odkąd łąki są wspólną własnością, odtąd tylko wasza część wsi z nich korzysta, bo my nie mamy do nich dostępu? — (zwracając się do mnie) — łąki przytykają tylko do tych gospodarstw, które leżą z tego końca wsi, dlatego im jest wygodnie paść tu bydło i drób, ale chłopi, którzy mieszkają dalej, z pastwisk nie korzystają. Czy możemy się zgodzić na taką sprawiedliwość?

To nie jest ten argument, który powinien paść. Stępień powinien zdawać sobie z tego sprawę. Ktoś złośliwy mógłby pomyśleć, że linia podziału na przeciwników i zwolenników kółka i jego poczynań leży w miejscu, w którym chałupy skręcają wzdłuż drogi oddalając się od łąk. Widocznie od dawna już wszyscy ci, co z łąk nie mogli korzystać w pełni ze względu na położenie swych zagród — myśleli o tym, jakby zmienić sytuację na swoją korzyść. Wreszcie założyli kółko rolnicze. Tu wszakże narzuca się pytanie. Czy w tej ich korzyści nie mieści się również korzyść drugiej strony? Na pewno tak. Ale Stępień nie potrafił tego wytłumaczyć.

Znając tę prawdę, nie staram się już panować nad sytuacją. Teraz już mówią wszyscy na raz, padają wyzwiska, znika układna grzeczność. Tylko Stępień w tym zgiełku stoi milczący, obojętny, uśmiechając się z wyższością.

* * *

Byłam tam znowu i wstąpiłam do prezesa, ot tak, z ciekawości. Dowiedziałam się od niego, że w końcu udało się sprawę załatwić polubownie, że stało się to dzięki interwencji władz powiatowych. Część łąk została już zaorana. — A teraz? — dodał Stępień — kupiliśmy za pieniądze z funduszu rozwoju rolnictwa agregat omłotowy.

Będą musieli przyjść do nas wcześniej czy później, chyba że zechcą cepami młócić — dodał mściwie, a w jego głosie zabrzmiała znowu nutka pewności człowieka, który postawił na właściwą kartę.

Co prawda, kilku nie „ugięło się", ale chyba inni będą musieli złożyć broń. Przyjdą i poproszą o pożyczenie maszyny. Bo młócić trzeba.

Pożegnałam się szybko. Denerwował mnie fakt, że Stępień traktuje mnie jak kogoś, kto całkowicie aprobuje i pochwala jego poczynania, a we mnie zrodziły się jakieś bliżej nieokreślone sprzeciwy: nie zawsze umiał używać przekonywających argumentów. A przecież łąki w Woli Wiewieckiej, zakisłe łąki grają niemal rolę symbolu: w jaki sposób ugory ustępują przed nowym.

T. ZWIERZCHOWSKA

Zdjęcia: **W. BILIŃSKI**

POSZUKUJE SIĘ ODPOWIEDZI:

- ✻ JAK LICZNE SĄ RODZINY,
- ✻ ILE ZARABIAJĄ,
- ✻ CO JEDZĄ I CZY ZDROWO,
- ✻ JAKA JEST STRUKTURA WYDATKÓW,
- ✻ ILE CZASU POŚWIĘCAJĄ NA ODPOCZYNEK,
- ✻ W JAKICH WARUNKACH MIESZKAJĄ...

KRZYSZTOF POGORZELEC

ŚWIAT w którym żyjemy

ŁÓDŹ NAZYWAJĄ POLSKIM MANCHESTEREM. RZEKOMO OBA TE MIASTA MAJĄ TAKĄ SAMĄ FABRYCZNĄ „TWARZ". NIE WIEM CZY TO DOBRE PORÓWNANIE. NATOMIAST PEWNIKIEM JEST, ŻE Z GROMADY 383 TYS. PRACOWNIKÓW POLSKIEGO PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO NA ŁÓDŹ PRZYPADA OKOŁO 40 PROC.

ONI SĄ WIĘC SOLĄ TEGO MIASTA, KTÓRE JEST NASZYM. CZY ROZGRZESZA TO MOJĄ DZIENNIKARSKĄ CIEKAWOŚĆ?

Emeryci rosną „w cenie". Dziadek nie tylko przypilnuje i pójdzie na spacer z wnuczkiem, ale jeszcze „podreperuje" budżet domowy. Foto — J. Głowacki

Jednym z żarłoków czasu łódzkich włókniarek są zajęcia przy kuchni. Foto — J. Głowacki

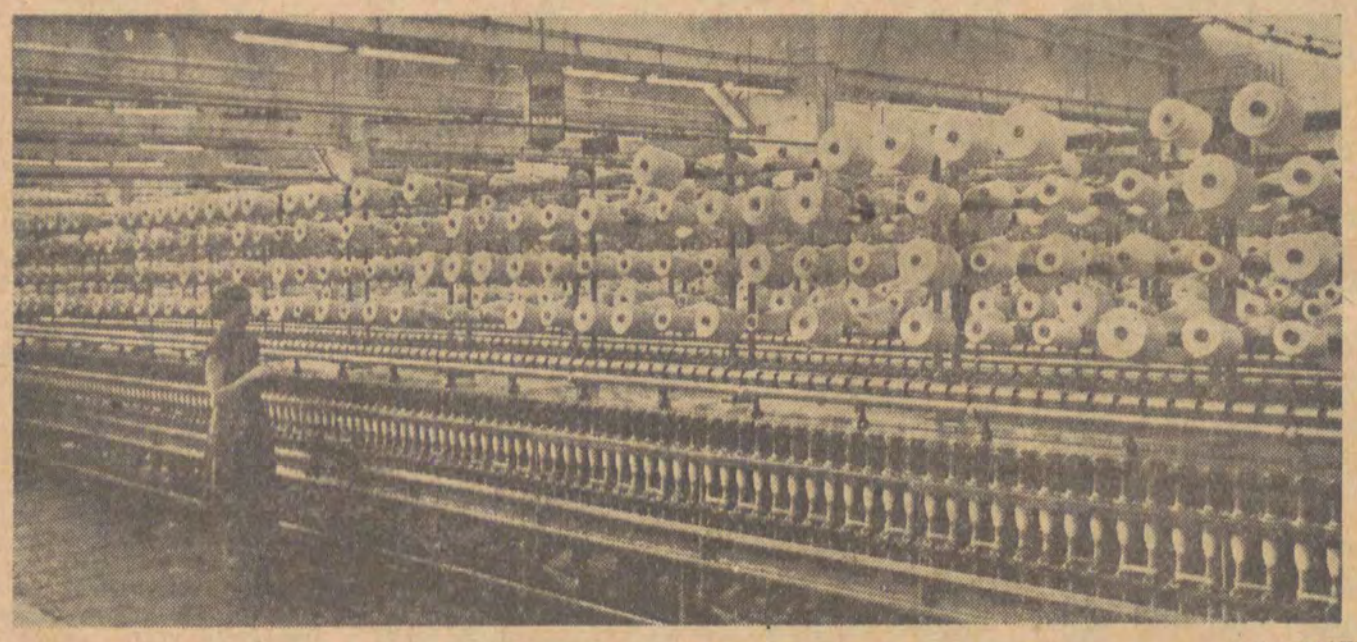

Jest ich 383 tysiące. Codziennie stają przy maszynach. *Foto: CAF*

MAGICY I LOGICY

Podobno statystyka ma to do siebie, że przy jej pomocy można... absolutnie wszystko uzasadnić. Tak przynajmniej twierdzi wcale niemały klan „magików" i opiera swoje zdanie na nie byle jakiej praktyce. Natomiast logicy wyznają zasadę, że jest to po prostu naukowa metoda odkrywania rzeczywistości, przy czym środkiem wiodącym do prawdy są konkretne liczby. Wierzę tym drugim. Przekonali mnie o tym ludzie z Ośrodka Badawczego, który działa przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego.

Mały, skromny pokoik. Trochę książek, biurko i maszyna do liczenia. Niezmiernie ważna maszyna; przy jej pomocy wydawana jest DIAGNOZA. Gdy trafisz tutaj, zostaniesz zasypany lawiną liczb i poczęstowany świetną kawą. Tak, dla lepszego trawienia.

Otwieramy trzy skromne zeszyty. Tytuły: „Budżety domowe rodzin włókniarzy łódzkich", „Młodzież w zakładach włókienniczych", „Budżet czasu kobiet włókniarek".

WSZYSTKO O ZŁOTÓWKACH

Tych, które 15 lub 30 każdego miesiąca wpływają do włókniarskiej kieszeni.

Dochody są bardzo różne, a ich wysokość zależy od wielu czynników, wśród których „pierwsze skrzypce" gra wskaźnik zatrudnienia oraz ilość osób pozostających we wspólnym gospodarstwie, bądź też stanowiących rodzinę. W pierwszym przypadku — jak to wynika z materiałów zgromadzonych przez Ośrodek — we włókniarskiej społeczności zdecydowanie przeważają rodziny, które składają się z trzech lub czterech osób. Tych jest ponad 50 procent. Za bardzo charakterystyczny objaw należy uznać fakt, iż znaczny odsetek wśród osób, które dały odpowiedź na specjalną ankietę, rozesłaną do kilku łódzkich zakładów przemysłowych: ZPB im. gen. Waltera, Łódzkiej Przędzalni Przemysłu Bawełnianego, ZPB im. Wł. Bytomskiej, do „Kasprzaka" i Śródmiejsko-Łódzkich Zakładów Pończoszniczych, stanowią członkowie rodzin złożonych w przeważającej mierze z ludzi czynnych zawodowo. Np. w rodzinach składających się z trzech osób, w 63 przypadkach na 100 można by powiedzieć — wszyscy pracują zarobkowo.

Pytanie: jaka jest więc sytuacja finansowa materialna, łódzkich rodzin włókniarskich?

Pomiędzy ilością osób, które pracują i pozostają we wspólnym gospodarstwie, a warunkami bytu istnieje ścisła więź. Okazało się, że w rodzinie złożonej z trzech osób, w tym dwóch czynnych zawodowo, przeciętny „przychód na głowę" w miesiącu wynosi około 751 zł. W przypadku „zespołu" 4-osobowego i przy zachowaniu takich samych warunków, ta kwota spada do poziomu 628 zł.

Nie oznacza to jednak, że tak przedstawiają się dochody absolutnie **wszystkich** rodzin wziętych pod statystyczny mikroskop. Wśród badanych znalazły się także dwie rodziny o dochodach miesięcznych, kształtujących się poniżej 400 zł na osobę, oraz trzy przykłady wyraźnie przekraczające pułap tysiąca złotych...

Ważnym elementem, którego nie wolno pominąć przy rozpatrywaniu dochodów łódzkich włókniarzy są emerytury i renty, bowiem „cena" posiadania babki czy dziadka w domu, po niedawnych regulacjach emerytur wyraźnie zwyżkuje, a ich wkład finansowy do wspólnego gospodarstwa odgrywa niepoślednią rolę. Liczby każą stwierdzić, że uzyskiwane renty powiększają możliwości materialne włókniarskich rodzin o 10—12 proc., przy czym wskaźnik ten wykazuje nieustanną tendencję wzrostową. Takim samym zjawiskiem są świadczenia państwa na rzecz obywateli głównie w postaci dotacji natury socjalnej. Tak np. 25 proc. dzieci pracowników łódzkich fabryk przemysłu włókienniczego korzysta z przedszkoli i żłobków, w których opłaty ponoszone przez rodziców są minimalne, a koszty utrzymania tych placówek pokrywa państwo.

WYDATKI, WYDATKI...

Ile wydają miesięcznie, na co, jakie pozycje są najważniejsze we włókniarskim budżecie?

Niestety, w dalszym ciągu problemem nr 1 dla domowych gospodyń jest żywność. Piszę — niestety, bo nie jest to objaw pocieszający z ekonomicznego punktu widzenia, kiedy rodzina składająca się z trzech osób przeznacza 69,7 proc. swoich dochodów na zakup artykułów spożywczych. Równocześnie jednak wśród tej grupy ludzi notuje się poważne oszczędności, ulokowane zwykle na różnego typu książeczkach PKO. Tradycyjna „pończocha" powoli wychodzi z mody, przy czym odłożone kwoty rezerwowane są na specjalne zakupy, wśród których zasadnicze znaczenie mają pozycje: obuwie i odzież. W ciągu 12 miesięcy rodzina włókniarska złożona z trzech osób przeznacza na wydatki „ubraniowe" sumę zł 4.835, a na buty wydaje około 2.820 zł. Nieco inaczej choć podobnie, kształtują się wskaźniki w rodzinie 4-osobowej. Tutaj na zaspokojenie potrzeb kulinarnych poświęca się 61,2 proc. ogólnych dochodów. Na trwalsze „inwestycje" osobiste jak „ciuchy" przeznacza się na „głowę" w ciągu całego roku 5.255 złotych, a obuwie „kosztuje" 2.895 zł.

WŁÓKNIARSKA KUCHNIA

Tę kwestię było najtrudniej ustalić. Wiadomo: nie każda gospodyni lubi zdradzać tajemnice swej kuchni. Niemniej udało się stwierdzić, iż 33 procent ogólnej kwoty przeznaczonej na zakup artykułów spożywczych, wydatkowane jest na zakupienie takich pozycji menu jak mięso, ryby, i jaja, chociaż te dwa ostatnie artykuły występują raczej w minimalnych ilościach.

Najczęściej zjadane specjały kulinarne? Pod tym względem wachlarz upodobań jest tak ogromny, że trudno ustalić pozycję nr 1 i intronizować ją na ulubioną potrawę łódzkich włókniarzy. Można natomiast powiedzieć, że rodzina 3-osobowa spożywa dużo więcej mięsa, mleka, śmietany, jaj, masła, bułek, marmolady, mąki pszennej oraz dżemów niż czteroosobowa. Znacznie mniej — kiełbasy zwyczajnej, słoniny, smalcu, żytniego chleba, ziemniaków oraz kwaszonej kapusty. Rodzina 3-osobowa zjada proporcjonalnie więcej warzyw oraz owoców. Podobnie jest z pozycją „różne", która obejmowała przyprawy i używki, choćby w postaci kawy naturalnej.

Suche wyliczenie artykułów, które najczęściej pojawiają się na stole włókniarskiej rodziny, nie wystarczy jednak, by wyrobić sobie dokładny pogląd o poziomie i wartościach odżywczych tej kuchni. Dlatego też zespół Ośrodka Badawczego postarał się dać odpowiedź na pytanie: ile niezbędnych dla normalnie rozwijającego się organizmu człowieka składników spożywa przeciętny łódzki włókniarz?

Otóż obliczono, iż w rodzinie 3-osobowej przy koszcie utrzymania 534 złote na 1 osobę ilość uzyskiwanych z artykułów spożywczych kalorii sięga 3.600, co oznacza 106,6 proc. dziennej normy przewidzianej dla dorosłego. Dla ścisłości podam, iż średnio każdy włókniarz zjada dziennie 91,9 grama białka, to znaczy 110 proc. ustalonej normy, 125,8 g. tłuszczu, 107 proc. oraz 508,7 g węglowodanów czyli o 4,6 proc. więcej, niż to przewidują naukowe normy.

Nie oznacza to jednak, iż wszystkie rodziny włókniarskie odżywiają się w sposób prawidłowy, przy czym błędne byłoby przypuszczenie, iż ten przywilej należy przypisać jednostkom lepiej sytuowanym.

NIE TYLKO DLA KOBIET

Tak, bo te sprawy powinny przede wszystkim zainteresować mężczyzn i ludzi, którzy mogą coś na lepsze w tej dziedzinie zmienić.

Chcemy tutaj mówić o wynikach ankiety, przeprowadzonej wśród kobiet — robotnic Zakładu Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Westerplatte. Zadano następujące pytania: **Jaka jest twoja praca zawodowa, ile czasu poświęcasz w domu na pranie, gotowanie, sprzątanie, zabiegi wokół dzieci, ile czasu musisz przeznaczyć na dojazd do pracy, na codzienne zakupy i sen?**

Uzyskane wyniki nie były zbyt wesołe. Tak np. czas snu kobiet zatrudnionych w fabrykach, pracujących na trzy zmiany wynosi 6 godzin 24 minuty, przy czym, jeżeli włókniarka pracuje w zakładzie, o produkcji 3-zmianowej — czas snu spada nieraz do 5 godzin i 36 minut.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na pewien charakterystyczny moment, a mianowicie na zależność zachodzącą między długotrwałością snu, a rodzajem „zmiany", na której pracuje włókniarka. Przy porównaniu ilości snu osoby pracującej na zmianie dziennej w stosunku do kobiety zatrudnionej w nocy, staje się jasne, że czas poświęcony na absolutny wypoczynek w przypadku kobiety pracującej w ciągu dnia jest dłuższy, odbywa się w sposób ciągły i nie jest przerywany. Praca na trzy zmiany, a co za tym idzie — sen w czasie pełnego dnia sprawia, iż odpoczynek ten dzielony jest na raty, gdyż kobieta w tym czasie robi również zakupy, przygotowuje posiłki itp.

Ludzie z Ośrodka Badawczego zajęli się także innymi pozycjami „budżetu" czasu włókniarek. Z odpowiedzi, jakie zgromadzono wynika, iż za najuciążliwszą pracę domową uważane jest pranie. Zajmuje ono w dni powszednie przeciętnie 1 godz. i 2 minuty, z tym, że w poniedziałek urasta nawet do 3 godzin. Czas przeznaczony na tą czynność przez kobiety jest także zależny od ilości dzieci w rodzinie i o ile w grupie rodzin nie posiadających dzieci wynosi on przeciętnie 4 minuty, to przy jednym dziecku — 59 minut, przy dwu — 70 minut, i przy trzech — 82 minuty.

Następnym żarłokiem czasu łódzkich włókniarek jest gotowanie. W ciągu tygodnia zajmuje ono średnio 2 godz. 14 minut, ale w niedzielę urasta już do 3 godzin i 30 minut.

Osoby, które odpowiedziały na ankietę, przedstawioną robotnikom Zakładów im. Obrońców Westerplatte, jednomyślnie stwierdziły, że bardzo dużo kłopotów na-

stręcza im problem dokonywania różnych zakupów. Czas który trzeba na nie poświęcić wynosi w dni powszednie przeciętnie 1 godzinę. Jednak w takie dni, jak piątek i sobota, urasta nawet do kilku godzin, przy czym kobiety stwierdziły, że najuciążliwsze są zakupy w sklepach rzeźniczych.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na problem czasu, jaki włókniarki muszą poświęcać na dojazdy do swoich miejsc pracy. Niestety, i tutaj nie możemy pochwalić się pomyślnymi objawami, bowiem dane statystyczne każą stwierdzić, iż każda z łodzianek zatrudnionych w przemyśle włókienniczym biorąc średnio, marnuje na dojazdy ze swojego domu do pracy około półtorej godziny.

TRZY GROSZE

Od siebie, gdyż wydaje mi się, że niektóre sprawy wymagają skomentowania.

Otóż szereg niepomyślnych zjawisk, które przy pomocy ankiet oraz badań statystycznych odkryli pracownicy Ośrodka Badawczego, naszym zdaniem, można w dużej mierze zlikwidować. Np. problem niewłaściwego odżywiania się włókniarskich rodzin. Nie jest tajemnicą, że zdecydowana część naszego społeczeństwa nie odznacza się bynajmniej kulturą kulinarną. Jemy dużo i.. źle. Ale z drugiej strony rodzi się pytanie: kto ma ludzi nauczyć tej kultury i higieny żywienia?

W Niemczech oraz w Czechosłowacji widziałem, jak w wielkich domach towarowych oraz samoobsługowych barach robiono błyskawiczne pokazy sporządzania kalorycznych i tanich potraw. U nas o takiej akcji jeszcze nie słyszałem.

Ale najważniejszym problemem jest chyba sprawa „uzdrowienia" budżetu czasu łódzkich włókniarek. Żarłokami czasu są przede wszystkim takie pozycje, jak pranie, gotowanie, oraz... codzienne podróże do miejsc zatrudnienia. Uważam, iż z powodzeniem można by zmniejszyć ilość godzin, poświęcanych na te cele, gdyby po prostu... skoczono po rozum do głowy. Taki problem dojazdów. Nie wiem, dlaczego mieszkanka Rudy Pabianickiej musi w naszych trudnych warunkach komunikacyjnych pracować akurat w Julianowie. I — na odwrót, spora część mieszkańców tej dzielnicy jeździ, powiedzmy, do ZPB im. Armii Ludowej.

Nieco trudniej będzie z udzielaniem pomocy kobiecie w jej czynnościach, związanych z prowadzeniem domu. Wiadomo, nie każdego jeszcze stać na zakupienie lodówki czy pralki. Sądzimy jednak, że inicjatywa ,z którą swego czasu wystąpiły „Odgłosy", sprowadzająca się do tego, by wspólnym wysiłkiem mieszkańców całego bloku, względnie kilku domów kupować „kuchenne roboty", jest godna podjęcia i wprowadzenia w życie. W ten bowiem sposób szerszy ogół rodzin mógłby korzystać z dobrodziejstw, jakie niesie „czarnej" robocie w kuchni nowa technika.

POCZĘSTOWALIŚMY WAS, CZYTELNICY, SZEREGIEM LICZB. NIE WIEMY, CZY MÓWIĄ ONE Z CAŁĄ DOKŁADNOŚCIĄ O TYM, JAKI JEST ŁÓDZKI WŁÓKNIARZ. SĄDZIMY JEDNAK, ŻE POKAZALIŚMY WAM KAWAŁEK ŚWIATA, W KTÓRYM PRZECIEŻ ŻYJEMY.

K. POGORZELEC

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

Zieleń w słońcu

Kończy się lato czyli kończy się zieleń. Bo zieleń jest symbolem lata, podobnie jak kwiaty są symbolem wiosny, a owoce — jesieni. Oczywiście nie ma pomiędzy nimi, jak to zazwyczaj w przyrodzie, ostrych granic. Jedna pora roku przechodzi w drugą stopniowo i niepostrzeżenie, a tzw. pełne sezony ze względu na odrębność swoich cech mają sens jedynie umowny, zwłaszcza w ostatnich latach w których przyroda szczególnie jest figlarna w swoich niespodziewanych kaprysach, co doskonale oddaje tegoroczny, nieco wisielczy, dowcip: „Łagodną zimę mieliśmy tego lata".

Kończy się lato. Ale czy kończy się zieleń? Nie, to nieprawda! Owszem, podzwonne latu, ale nie zieleni. Bo zieleń jest trwalsza od lata. Wprawdzie zieleń jest dominantą tylko lata, ale za to stanowi ciągły element wszystkich pór roku. Zmienia się tylko jej natężenie, zależnie od światła, a nie od podłoża. Zależność zieleni od słońca jest organiczna, a więc przyrodzona.

Dlatego zieleń w słońcu jest najpełniejsza — najbogatsza w swych niuansach i odcieniach. Powiedziałbym, że dopiero w słońcu zieleń odzyskuje swój właściwy sens. Jest najpiękniejsza i zarazem najpożyteczniejsza. Wtedy właśnie, kiedy jest najpiękniejsza, jest też i najpożyteczniejsza. Pochłania dwutlenek węgla, asymilując sobie węgiel, a oddając nam tlen. Nam i wszystkim stworzeniom na ziemi. Ludzie mogliby ostatecznie żyć bez innych stworzeń ale ani ludzie, ani żadne inne stwory na ziemi nie mogą żyć bez zieleni. Przynajmniej pośrednio. Bo wszystko, co żyje, musi oddychać czyli przyswajać tlen, a zieleń to jedyne w przyrodzie laboratorium tlenu. Zieleń to filtr powietrza i płuco ziemi.

Ale nie tylko, Czytelnik chyba już się zorientował, że mówiąc o zieleni, mówi się tutaj nie o kolorze, lecz roślinie — o roślinności w ogóle. W tym znaczeniu zieleń jest wszędzie i zieleń jest zawsze. Zarówno latem jak i zimą, nie mówiąc o wiośnie i jesieni. Zieleń nigdy i nigdzie nie zamiera. Zarówno na skwarnych saharach jak i mroźnych biegunach. Nieraz żyje życiem utajonym, ale żyje. Nieraz traci swą zasadniczą, przyrodzoną barwę, barwę zieloną, niemniej roślina pozostaje. To jej tajemnica, w jaki sposób z powodu braku światła, światła słonecznego, bo inne się nie liczy, wymienia — żeby użyć języka uczonych — chlorofil na ksantynę, a ksantynę na antocyjan. Albo odwrotnie, w jaki sposób pod wpływem słońca redukuje w sobie składniki frangulinowe i karotynę na rzecz zwycięskiego chlorofilu. Póki żyje produkuje dla atmosfery tlen, odkładając dla siebie węgiel, a z gleby pobiera przez korzenie azot, rozmaite sole i jeszcze inne składniki, które się stają pokarmem wszystkiego, co żyje na ziemi. Tak więc zieleń nie tylko umożliwia nam oddychanie, ale również stanowi podstawowy nasz pokarm. Nie tylko. Zieleń nas odziewa. Jeśli ktoś powie, że nosi odzież tylko wełnianą albo skórzaną, to mu odpowiem, że owce, krowy i konie, i antylopy karmią się wyłącznie zielenią, a niedźwiedzie i tygrysy pośrednio przez te właśnie porywane i rozrywane przez siebie owce krowy, konie i antylopy. Zieleń przez długie wieki stanowiła jedyny budulec naszych domów, naszych statków, którymi Kolumb przemierzył Atlantyk, naszych warsztatów, naszych machin przemysłowych. Dotychczas większość umeblowania naszych wnętrz mieszkalnych składa się z produktów zieleni. Zieleń jest wreszcie zasadniczym źródłem naszej energii cieplnej. Główną dostarczycielką ognia jest zieleń. Bo wiadomo że zarówno drewno jak i węgiel, to przemieniona zieleń, a ropa naftowa tak samo. Wreszcie zieleń to nasze lekarstwo i nasza sztuka. Dlaczego? Dlatego, że zieleń to największy na ziemi konserwator słońca, jedynego źródła naszej energii życiowej, a więc także między innymi twórczej. Semper et ubique.

Skąd ta nagła i egzaltowana apologia zieleni? — zapyta czytelnik. Cóż, nie wiem, czy mi kto uwierzy, jeśli upraszczając bardzo sprawę odpowiem, że głównym powodem było przeczytanie niektórych pozycji świeżo wyszłego z druku, niezwykle pasjonującego *„Małego słownika astronautycznego"*, zredagowanego przez dwóch wybitnych uczonych — Janusza Thora i Olgierda Wołczka. Czytając w nim o możliwościach lądowania człowieka w niedalekiej przyszłości na innych planetach naszego układu słonecznego, przeraziło mnie stwierdzenie braku na nich zieleni, podstawowego rezerwuaru życia. A tej zieleni nie ma tam z powodu albo zbyt wysokiej albo zbyt niskiej temperatury. *„Niektórzy badacze* — czytamy w tym „Małym słowniku astronautycznym" pod hasłem „Życie we wszechświecie" — *zastanawiają się nad możliwością istnienia na tych światach życia opartego na zupełnie innych pierwiastkach, niż życie na Ziemi. Podstawowym pierwiastkiem życia rozwijającego się w temperaturze poniżej minus 100 stopni Celsjusza byłby fluor, który zastępowałby tlen, natomiast wodę zastąpiłby metan. Rozważania tego typu wchodzą już jednak w zakres czystej fantazji i nie należą do astronautyki".*

No tak. Łatwo powiedzieć: życie oparte na innych pierwiastkach niż tlen i wodór, niż światło i zieleń. Ale czy wtedy byłoby to życie? Czy raczej tylko jakaś inna forma istnienia? Ale nam właśnie chodzi o życie, którego podstawą i zasadą jest światło i jego kondensator — zieleń.

Z jakąż więc rozkoszą po tej ciekawej, ale niepokojącej lekturze *„Małego słownika astronautycznego"*, rzuciłem się na wydane w tych dniach dwie książki o podróżach do największych na świecie rezerwatów zieleni: Afryki i Ameryki Południowej. Pierwsza z nich, wydana przez „Iskry", to przekład z francuskiego Jean-Francois Waltera *„Afrykańska włóczęga"*, druga to wydana przez „Wiedzę Powszechną", znanego podróżnika polskiego Mieczysława Lepeckiego *„W selwasach Paragwaju"*. Obie obficie ilustrowane opowiadają o pełnym emocji, a nawet grozy, życiu w niedostępnych i nieprzebytych buszach, puszczach, dżunglach i sawannach najdzikszych podzwrotnikowych ostępów świata, matecznikach zieleni. O ich złożonym i zwielokrotnionym życiu stanowi wieczna, zda się nieśmiertelna, bo niczym nieposkromiona ta właśnie zieleń. Zieleń spod równika, skąd najbliżej do słońca. Bo bez słońca zieleń nie ma sensu, jest bezczynna, jest martwa.

Zieleń i słońce — dwa najpiękniejsze słowa w mowie polskiej. Zarówno dźwiękowo, jak i zwłaszcza znaczeniowo. Najbogatsze ze wszystkich słów w treść życiową, filozoficzną, artystyczną. Zieleń to nadzieja, „drzewo życia wiecznie zielone", a słońce to światło prawdy, sprawiedliwości — „zbawienia słońce". Suma słońca i zieleni to życie. Kto niszczy zieleń — niszczy życie, zabija siebie, jest samobójcą! A świat bez słońca i zieleni, to wieczna zima, kędy „północ mrozem dmucha".

Filozof na spacerze.

ARYSTARCH

Kierkegaard na ulicach KOPENHAGI

Warto się przenieść myślą do stolicy Danii w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku i przespacerować się w wyobraźni po wąskich, krętych uliczkach Kopenhagi, po których miał zwyczaj odbywać promenady zamyślony Sören Kierkegaard, wielki duński filozof, jeden z pierwszych twórców głośnego dziś kierunku filozoficznego, znanego pod nazwą egzystencjalizmu.

Z myśli religijnej Kierkegaarda zaczerpnął najsilniejsze impulsy wybitny niemiecki filozof współczesy Jaspers, tak jak od Nietzschego (głoszącego „śmierć Boga") czerpał i trawestował motywy filozoficzne egzystencjalista ateistyczny Heidegger. Z kolei „Sein und Zeit" („Byt i czas") Heideggera dało pochop głośnemu filozofowi Sartre'owi do sformułowania zasad egzystencjalizmu w jego podstawowym dziele „L'etre et le Néant" („Byt i nicość"). Są dwie formy bytu — uczy Sartre: „Byt w sobie" — ciężki, ślepy, surowy bez wewnętrznego znaczenia, niedorzeczny. W ten bezsens świata wprowadza człowiek pierwiastek twórczy, czyn, „byt dla siebie", zawieszony między teraźniejszością a przyszłością. Lawirując między tym, kim jest, a tym, kim się stanie, „człowiek jest projektem, rzutem samego siebie, czystym ruchem w nieznane piękno". I właśnie tylko czyn, twórczy i pełen wysiłku, nadaje sens ludzkiemu istnieniu. Niestety, człowiek — według Sartre'a — skazany jest na wieczną samotność. „Każdy stanowi świat szczelnie zamknięty. Drugi człowiek jest mi dany tak, jak i ja w tym samym czasie, co i ja, w trybie bytu specjalnego, bytu dla drugiego", który jest niczym innym, jak bytem, uchwyconym przez spojrzenie drugiego człowieka. Człowiek z początku żyje na woół świadomie i dopiero później odnajduje i określa samego siebie, a realizuje to dopiero po przedarciu się przez egzystencję, gdy uświadomi sobie, czym chce być, czym pragnie siebie uczynić.

Ale wróćmy do Kierkegaarda. O jego życiu ukazała się książka duńskiego pisarza Johannesa Hohlenberga pod tytułem „Sören Kierkegaard" przetłumaczona na język francuski. Recenzję o niej, pióra André Maurois, zamieścił w sierpniowym numerze tygodnik paryski „Nouvelles Littéraires". Kierkegaard urodził się w 1813 roku. Ojciec jego, Michał, był pasterzem owiec w Jutlandii. Zrozpaczony nędzą i beznadziejnym położeniem, wdrapał się pewnego razu na blok skalny i zaczął stamtąd bluźnić i złorzeczyć Bogu za to, że pozwala mu cierpieć w samotności i bez cienia nadziei. I oto, w kilka dni później jego wuj, bogaty kupiec, wzywa go do Kopenhagi. Głęboko wierzący Michał widzi w tym odpowiedź Boga. I chociaż, po latach, jako kupiec dochodzi do ogromnego majątku, wciąż żyje w lęku i trwodze przed gniewem i karą boską za bluźnierstwa, które miotał ze skalnego bloku w Jutlandii.W końcu, Michał Kierkegaard wbił sobie w głowę, że pewnego dnia Pan Bóg zażąda od niego jak od biblijnego Abrahama ofiary z dzieci. Syn jego, przyszły filozof, przejął tę obsesję od ojca i uwierzył, że jest on przeznaczony na to, aby być ofiarą za grzech tego, który go spłodził, ale że krzyż, jaki podźwignie, będzie służył jakiejś wielkiej idei. Na domiar, stary Kierkegaard doczekał się już (w jego mniemaniu) jednej kary bożej: zaczął tracić dzieci, jedno po drugim; w 1819 roku stracił jednego syna, w 1822 roku — córkę, następnie znów syna i dwie zamężne córki. Teraz wbił sobie w głowę, że żadne z dzieci nie dożyje 33 roku (wiek, w którym został ukrzyżowany Chrystus).

Nasz przyszły filozof miał więc być również jagnięciem, przeznaczonym na ofiarę Panu. Tymczasem chodził na teologię (protestancką) żywiąc w sercu (po wyznaniu dokonanym przez ojca) trwożne przeczucia o następstwach grzechu, które na niego spadną, grzechu ojcowskiego bluźnierstwa, ciążącego na całej rodzinie.

Dziwaczne usposobienie Sörena Kierkegaarda sprawiło, że w imię wyższego celu, do którego czuł się powołany, zerwał brutalnie narzeczeństwo z ukochaną, piękną Reginą Olsen, córką radcy stanu, wywołując w kołach elity kopenhaskiej niebywały skandal. Tym wyższym celem było w pojęciu Kierkegaarda — otworzenie światu oczu na zbrodnię, jaką popełnia wobec Chrystusa, i tylko temu celowi wyłącznie chciał Kiekergaard służyć. W 1843 roku ukazuje się pierwsze dzieło filozofa pod tytułem „Enten-Eller", co można przetłumaczyć jako „Alternatywa" względnie: „Albo-albo". Trzeba dokonać wyboru między postawą estetyczną a etyczną, albo-albo, nie wolno szachrować i być po trosze uwodzicielem i po trosze porządnym człowiekiem. Dzieło wydane pod pseudonimem Wiktora Eremity stało się sensacją. Zwłaszcza, gdy okazało się, że autorem jest bogaty, rozpróżniaczony i skompromitowany młody Kierkegaard, który zerwał zaręczyny z córką radcy stanu Reginą Olsen. Wybuchła burza. Zaczęły krążyć pisemka i karykatury ośmieszające filozofa. Uliczni cy wykrzykiwali za spacerującym po Kopenhadze filzofem: — Enten-Eller!

Dla Kierkegaarda prześladowania były znakiem, że został powołany i wybrany przez Boga. Lubował się swymi cierpieniami. W wydawanym i redagowanym osobiście czasopiśmie „Chwila" wydaje walkę oficjalnemu kościołowi: „Odsuńcie się od kultu oficjalnego! — woła. — Bądźcie chrześcijanami z duszy! Prawda nie może być zbiorowa ani historyczna, może być tylko — przeżyta i osobista".

Kierkegaard zmarł w 1855 roku pozostawiając po sobie dzieła filozoficzne „Trwoga i drżenie" oraz „Powtórzenie" o nieprzemijającej wartości.

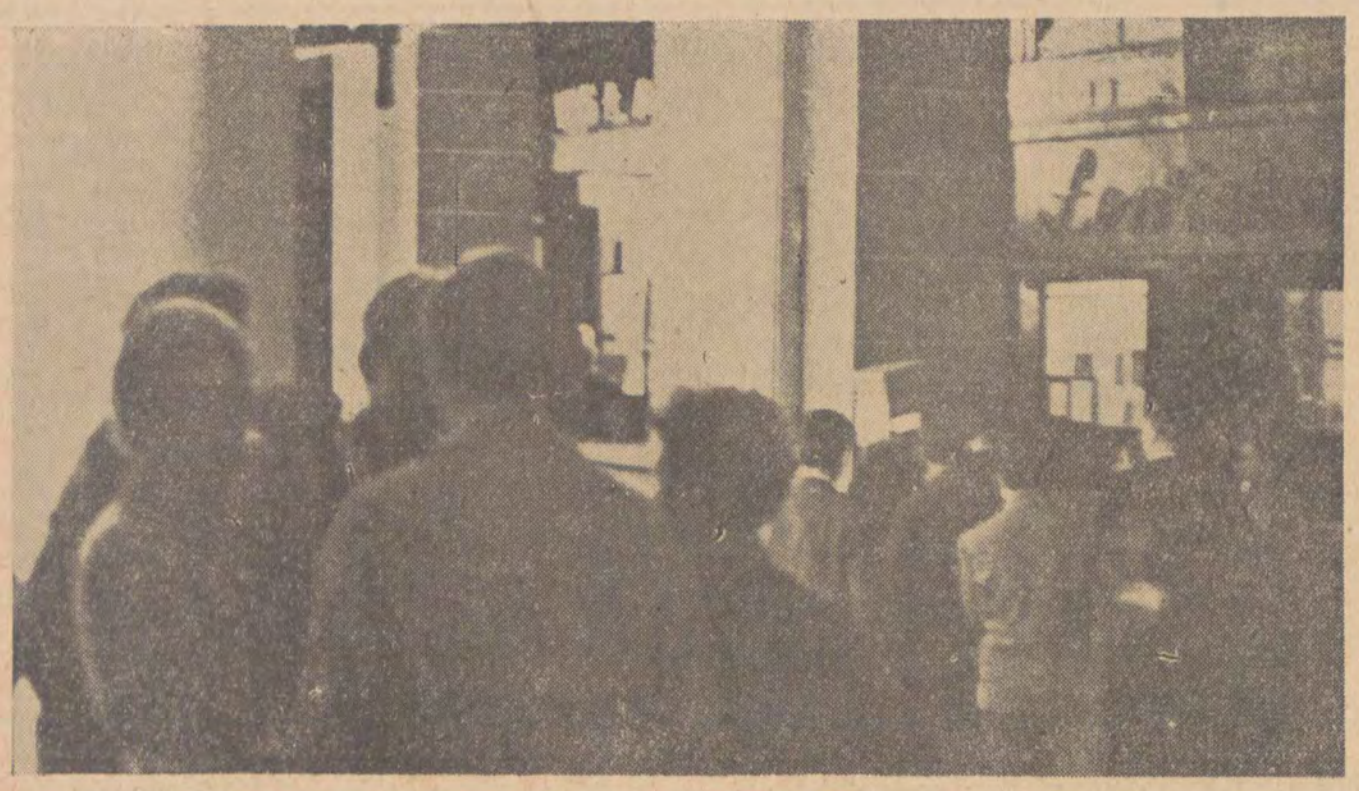

Ulica w deszcz

(Dokończenie ze str. 1)

cacie na mur — najwyższy z pięciu wymachiwał gwałtownie rękoma. — **Lysoń zepsuł, jak go wprowadziłi zacząłem mu sztukać palcami, że nic nie wiedzą, ale to gamoń. Trząść się zaczął i płakać, że on to pierwszy i ostatni raz.** Przerwał na chwilę kiedy mijali trzech wyrostków. Potem widocznie nie miał już chęci opowiadać. Milcząc doszli do „Warszawianki". Weszli.

Stali w piątkę. Było zimno, wzięli więc kurtuazyjnym gestem panie między siebie. **Co tu robimy? Czekamy. Na kogo? Różnie. Ja na bombę atomową. Zosia na Aliantów. Czekamy. Czekanie to podstawa. Niech pan też poczeka. To dobrze robi.** Ryknęli zgodnym chórem. To był dobry kawał. Bardzo dobry kawał. Jutro śmiać się będzie cała klasa.

Jakbyś chciał pan posiedzieć chwilę nad kawą z ciastkiem też byś pan stał. Czekamy już chyba z godzinę. Władza boczy się, że na ulicy, a gdzie, gościowi nad głową nudzić, żeby skończył i dał miejsce innym?

Ci nie mieli ochoty do żartów. Może dlatego, że starsi, ot jakiś drugi rok pracy w fabryce i 1200 na rączkę. Wieczorem wypada iść z panami na kawę, może nawet i „owocowe-młodzieżowe za 15". Przejść kilka razy na trasie „Warszawianka" — „Nowicka" — „Egzotyczna" i nie dostać stolika, to też może odejść ochota do żartów.

— O ten to ma, cholera, szczęście. Chodzić nie musi, „Warszawą" się rozbija. Musi nie musi, raczej nie może. — Tadziu kochanie, dziewczynki to tylko w „Casanovie", gdzie tu ty chcesz uczciwą pannę znaleźć. Kochany Tadziu ledwie, ledwie przebierając nóżkami wtacza się do taksówki.

— Co mamy zamiar robić dziś wieczorem? Nie wiem. Może się coś skombinuje. Teatr za drogi, pod „Bałtykiem" nowy Grunwald, a koniki po 100 zł ciągną. 100 zł, rozumiesz pan. Jakbym miał 100 zł, to może bym nie sterczał. Tak 100 zł dla żaka jedenastoklasisty, dla którego 10 zł to nie byle jaki wydatek, jest rzeczywiście problemem.

— Poszedłbym do klubu ale tam puszczają tylko na legitymacje studenckie. Za rok to może pójdę, ale dziś? Dziś do klubu żaka nie puszczą, to gdzie pójdzie?

W Pałacyku Jazz-Club grał czasem to można było iść posłuchać, ale też teraz przyciichli.

Słusznie, nie ma co robić, nie ma za co, nie ma gdzie, może kiedyś, ale dzisiaj?

Robią z powrotem swoje smutne filozoficzne miny i wracają na szlak. Pięć osiem kursów i jeżeli się nic nie zdarzy do domu. Jutro też się chyba tu spotkają. Tanio, swobodnie, czasem tylko trochę zimno, albo deszcz.

Chodzę, powiadasz, rozmówek słucham, ludzi zaczepiam no i co, mówisz — no i co? Wszystko to materiał do ponurego kiepskiego reportażu, spóźniłeś się o lat kilka z tym reportażem, już takie reportaże niemodne, a jednak. — **Tak, tak, jak autentyzm modny**, powiadasz. Gdzie tu autentyzm? Sztuczna atmosferka, czarne tło, nieprawda mówisz? Prawda. Wiem, że prawda ale ci ludzie na słowo nie uwierzą. Może masz nadzieję, że choć część uwierzy. Jaka część? Bo widzisz, tu trzeba zupełnie inaczej, nie tak jak codzień, co wieczór, bo tu, uważasz, ludzi przypadkowych zupełnie nie ma. Nie trzeba nawet długich obserwacji, popatrz tylko uważniej na twarze, wszyscy się właściwie gdzieś śpieszą, ten idzie do domu, ten do kawiarni, ten, no ten rzeczywiście trochę za długo stał przed barem „Słoń". Ale i on dokądś idzie, nawet i on usiłuje się śpieszyć. Ale przejdź trochę inaczej, do nikąd się nie śpiesz, nie oglądaj się za pannami, cel jest inny. Posłuchaj, tej ulicy. Stój cicho. Patrz po ludziach, auta przejeżdżają mokrą jezdnią, tak, popatrz na te auta, jakbyś rękę na pulsie ulicy trzymał. Bardzo literacka i bardzo banalna metafora. Puls ulicy, mówisz. Nazwę to inaczej, trochę w innym sensie. Widzisz tak myślę sobie, że ta ulica to jest pestka europejskości wielkiego miasta, poza nią jest już coś innego. To jest właściwie bardzo smutna ulica.

Podcienia na rogu Tuwima i Piotrkowskiej, oprócz bardzo ważnej cechy, jaką jest ochrona przed deszczem, posiadają jeszcze coś, co czyni je jednym z bardziej atrakcyjnych miejsc na Piotrkowskiej. Waga. Niby nic a jednak. — **Tak, tak, jak się tyłek spasło to podziałki nie starcza.** Pani speszona, małżonek usiłuje zrobić groźną minę, szczeniaki psia krew. — **Tylko nie szczeniaki, panie starszy, tylko nie szczeniaki, bo jak pogonią, to brzuszek od razu spadnie.**

— Co robimy? Bawimy się. Waga, maszyna dobra, czynna całą dobę. Frajerów nie brak. 50 groszy wrzuci jeden z drugim i akrobatę odstawia. Jak się na żartach nie zna to i gębę mu trzeba przykręcić. Co zrobimy zresztą wieczorem? Myśli pan, że warto go marnować na co innego? Czasem i pijany wujcio się trafi co go podtrzymać trzeba, bo z platformy leci. Zabawa tania i dobra.

Ci należą już do innej grupy. To koneserzy. Oni lubią dobrą zabawę. Tu już nie wystarczy podstawowy słownik. Tu trzeba już pewnego rasztu. Dobry dowcip piechotą nie chodzi, a frajerzy lecą na wagę jak muchy na lep. Drugim co do atrakcyjności punktem jest „Rekord". Choć i on teraz stracił nieco blasku, odkąd wódkę zlikwidowano. Dawniej weselej tu było. Co i rusz, to jakaś muza podkasana od swojego mecenasa po buzi dostawała. Za co? Mało kto wiedział, ale ruch był. Na zgodę wypijano własną „pierślówkę", zagrycha była na miejscu. Samych butelek, co po tych uroczystościach zostawały, na setki szło. **Teraz to już prawie nie ma**, skarży się babcia szmaciarka. **Może i lepiej. Nie stoją, nie zaczepiają. Brzydkie słowa wprawdzie się jeszcze zdarzają, ale mordobicie rzadziej. Może i lepiej?**

Chwytasz w tym jakiś fałsz, ech tylko ci się tak wydaje. Widać nie stałeś nigdy na ulicy po to, aby przysłuchać się słowom obcych ludzi, zupełnie ci nieznajomych, takich których twarzy na drugi dzień nie rozpoznasz. Fałsz mówisz to dlatego, że nie udaje ci się od razu sklasyfikować, przyłożyć do tych słów odpowiedniej miary. O właśnie, trudność polega na dobraniu odpowiedniej miary. Jaka miara? Może „ładnie, nieładnie"? Teraz właśnie idzie chłopak, objął ramieniem dziewczynę, dziewczyna ma jasne włosy, robi wrażenie namalowanej pastelowymi barwami, pastelowe barwy coś ci to pewnie przypomina... No i jaką miarę przyłożysz? Wiem to jest oczywiście ładne. Nie żadnych dociekań. Może nawet nie kochają się, może rozstaną się pod którąś bramą, teraz idą objęci, ludzie się za nimi nie oglądają, to już zwyczajny widok, paryska się zrobiła ulica. Nie będziemy pytali co robią, co będą robili, nie przez dyskrecję, tu nie ma potrzeby zadawania pytań. No więc to jest ładne.

Dla wyrównania proporcji chcesz jeszcze coś nieładnego. No to ci opowiem. Trzy dni temu widziałem tych co tu idą — dwóch mężczyzn i kobietę, nie nie musieli być właśnie ci, może tylko podobni. Widziałem ich niedaleko stąd, w nocy, w „Savoyu". Głodny byłem, wszystko już pozamykane, wpadłem tam. Nie masz pojęcia co się z „Savoy'u" zrobiło, ostatecznie jeden z reprezentacyjnych lokali. Oni właśnie odeszli od stolika Stali w trójkę. Kobieta tęga rozlazła, jakaś jedwabna kiecka, pantofle na wysokich korkach, pewnie nawet nie umawiali się na żadną rozpustę, nie załatwiali po prostu jakiś interes, ale wyglądało to brzydko. Tak, jak ci bardzo młodzi ludzie, pijani po setce, przechodzący od stolika do stolika, zajęci sobą a jednocześnie zaczepni. Spróbuj się obrazić na któregoś. Wśród nich znana postać, Maniuś — rekin pokerowy. Wielu go zna z widzenia, wielu popłynęło przy Maniusiu na paręset złotych. Brzydkie, nieładne. Masz więc kawałek wieczoru wymierzonego miarką „ładnie-nieładnie".

Przejść przez jezdnię na drugą stronę to jak barierę dźwięku przekroczyć, inny świat, inni ludzie. „Klub studenta" — **Na co czekam? Na kolegę. Wszedł na chwilę do klubu. Co wieczorem? Brydż. Bystrzycka jeszcze nie zaczęła działać, urządziliśmy więc brydża. Właśnie kolega wszedł, żeby poszukać czwartego. Czy się nudzimy, nie. Rozrywek nie ma wprawdzie dużo, wrzesień. Zjazd naukowców — zaległe egzaminy, ale jakoś sobie radzimy.** Wycofujemy się. Tu nie mamy co do roboty. Ci się nie nudzą. Nie czekają. Mają swoje plany, zajęcia. Może ci stoją niezdecydowani naradzają się. **— Dziś wieczorem, właśnie dumamy, czy do domu czy może jeszcze gdzieś. Gdzie nie wiemy, ale na upartego można coś wymyśleć.** To też nie to. Oni stoją właściwie przypadkiem, to nie stali bywalcy. Nie o to nam chodzi, szukajmy dalej. Może ten samotny pod „Grand-Hotelem" to słynny podrywacz.

— Proszę pana, co pana to obchodzi co ja tu robię.

Słusznie. Co mnie właściwie obchodzi co robi ten spokojny starszy pan wieczorem przed „Grand-Hotelem". Może rozmyśla, powietrza zażywa, zresztą uprzejmy nawet. Inni mówili: a gówno to pana obchodzi. Ten nie. Dżentelmen.

— „Bankowy" znów remontują, jak wódkę znieśli to i ściany mogą przemalować. Nie zarzygają. Gdzie my się teraz biedne sieroty podziejemy? Co Józiu? O to już jest coś. Z tymi to już niewiadomo czy buzi zaczną fundować czy w mordę przyleją. Tak to już się robi niezbyt przyjemnie. Ale i to pestka. Tu się niegdyś działo.

— Rżnęli się panie, żyletkami, żyletkami po pysku. Kosława go puściła wtedy, ale jej dogrzał. O dobrze jej dogrzał. Nowy wspaniały świat. Tu był punkt wypadowy kwiatu naszych dziewcząt na Kościuszki. Tu się oblewało przed i po. Tu załatwiało porachunki. Podwórze przy kasynie ciemne. Bóg tylko świadkiem kto kogo i za co. Czasem władza się w to wtrąciła, może dlatego Józio jest teraz biedny, że nie ma gdzie wypić.

Przed „Warszawianką" teraz też już nie jest tak tłoczno. Wprawdzie w pobliskim „spożywczym" wino jak szło tak idzie, ale butelkami się już w bramie nie tłuką. Jakby spokojniej.

Skończymy już chyba to łażenie w deszcz. My tylko dwaj jesteśmy tu nieprzypadkowo. Reszta to przypadkowi przechodnie, nie, teraz jacyś milicjanci przechodzą wolnym krokiem. Nie widzieliśmy ich dotąd. Pewnie była przerwa między dyżurami. Kończymy. Idziemy do domu. Popatrzmy jeszcze na tę ulicę pestkę wielkiego miasta, może i my dzisiaj „ją pierwszy raz widzieliśmy? I —jak to było jak brzmi ta autentyczna chuligańska piosenka?

Noc ciemna i zimna
Od wschodu wicher dmie
Powiedz, chuliganie, „gdzie
poznaliśmy się...

W. ŁUSZCZYKIEWICZ
M. WAWRZKIEWICZ
Zdjęcia: W. MICHAŁOWSKI

JERZY WILMAŃSKI

* * *

To ty odmykasz równiny nieobeschłe
Kiedy dzień kiedy noc kiedy lato
Cofasz dłoń zapada klamka
miedziana i ostateczna
a potem kiedy już w parkach
jesień stratują na miazgę
i skuty mrozem opadnie
grudnia biały nietoperz
odchodzisz drogą na północ
we włosach masz barwny sierpień
a pory roku pachną dojrzałą pomarańczą

* * *

Może oni odeszli poza rudy obłok
Poza jesień i lato, poza nad i ponad.

Wystarczy przecież minąć kiosk ze słodyczami,
Róg ulicy minąć, upały i deszcze
I dłonią nakryć godzin cykające świerszcze.

A jeśli odeszli pod strugą jesieni,
Błądzą teraz w rozkisłych równinach kartoflisk,
Wzrok unoszą ku górze i nie myślą o tym
Że spadnie na nich burzy ołowiany pocisk.

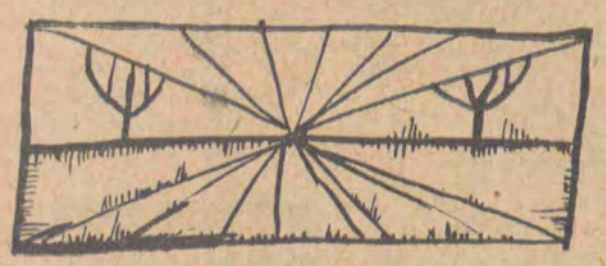

KWIECIEŃ

W samym środku wysokiej, cichociemnej nocy
Kwiecień zielonopióry nagle nas zaskoczy.

Otworzymy drzwi mieszkań żeby wszedł do środka...
(Może już innych kwietni nie dane nam spotkać).

Potem w dłoniach skryjemy nasze małe zbrodnie.
Gwiazda o bruk zadzwoni. Przystaną przechodnie.

A my westchniemy z lekką „patrzcie, kwiecień kona",
I palcem zastukamy w wiosny konfesjonał.

ANDRZEJ IZERSKI

WIDZEWSKI KRÓLIK

Rozdział II

OD USZERA DO OSKARA

Germanizacja i europeizacja niedoszłego rabina. — Komentator Talmudu odkrywa w sobie talenty towarzyskie. — Podróże do Rosji i na Zachód. — Interes w Gdańsku. — Skok znad morza w ogień rewolucji. — Śmierć Kunitzera. — Jak Oskar Kon zarabia na general-gubernatorze. — „Porządek i spokój", ale i kłopoty Oskara. — Akcje Wimy lecą na łeb na szyję. — Na widowni baron Tanfani. — Doniesienie na Goldfedera. — Bankier w pułapce. Przed rzuceniem sieci na Tanfaniego.

Wypłynięcie Uszera Kohna na szersze wody znalazło swój zewnętrzny wyraz w zgermanizowaniu nazwiska, które teraz brzmiało „Oskar Kon" i zamienieniu chałatu na europejskie ubranie. Uszer miał nadzieję, że w przyszłości jakoś z Bogiem załatwi to sprzeniewierzenie się starym obyczajom. Europeizacji zaś wymagały odeń względy reprezentacyjne.

Mając plenipotencję Widzewskiej Manufaktury, Oskar Kon często wyjeżdżał do Rosji dla zdobywania zamówień. Obracał się tam w kręgach bogatych kupców. Sprawy handlowe załatwiało się w Rosji w bogato zdobionych knajpach, gdzie szampan lał się strumieniami, gdzie połykano kilogramy kawioru i słuchano popisów cygańskich orkiestr i „cafeszantannych piewic". Kupiecki fason przewidywał również nocne eskapady powozami, których osie smarowano kawiorem, do ustronnych budyneczków, gdzie kupców przyjmowały przybyłe z Berlina, Paryża i Wiednia wytworne panie, które pragnęły urozmaicić życie rosyjskim, znanym z hojności, milionerom.

Oskar Kon, uczestnicząc w orgiach i pijaństwach urządzanych w Oddesie, Kijowie i Moskwie, obok talentów talmudystycznych i finansowych odkrył w sobie talenty towarzyskie i z łatwością uzyskiwał zamówienia na towary Wimy. Zresztą nie było o nie szczególnie trudno. Trwała jeszcze wojenna koniunktura.

W końcowym okresie wojny z Japonią Kon wybrał się w podróż do zachodniej Europy. Baron Tanfani — zięć Juliusza Heinzla i właściciel poważnego pakietu akcji Wimy zaprosił go do Mediolanu na rozmowy z włoskimi bankowcami, żywo zainteresowanymi możliwością lokaty kapitału w łódzkim przemyśle. Stamtąd Oskar pociągnął do Anglii, dla zapoznania się z najnowszymi osiągnięciami technicznymi w dziedzinie budowy maszyn włókienniczych, zawadził też o Paryż i zwiedził niemieckie centra przemysłowe.

Otarłszy się o wielki świat i ludzi wielkiego interesu, Kon powrócił do Łodzi z nowymi bodźcami do robienia fortuny. Jego pozycja społeczna urzędnika Kunitzera i przedsiębiorcy budowlanego, dysponującego kilkutysięcznym kapitałem wydała mu się nadzwyczaj mizerna, odkąd zaczął się obracać wśród ludzi, operujących milionami. Szczególnie, że w budownictwie zapanowała stagnacja. Sytuacja mieszkaniowa robotników była tragiczna. Nie stać ich było na wynajmowanie własnych „mieszkań" — nawet owych ciemnych, jednoizbowych klitek. Płace ciągle spadały i pieniędzy wystarczało im zaledwie na nędzne jedzenie. Ale potrzeby warstwy średniej zostały już zaspokojone. Na kamienicach, mieszczących bardziej luksusowe mieszkania coraz częściej pojawiały się kartki: „Mieszkanie do wynajęcia".

Kon inkasował grube prowizje od zawieranych w imieniu Wimy transakcji. Miał trochę wolnej gotówki i rozglądał się, jakby ją ulokować. Kiedy więc przyszedł do niego pośrednik, proponując kupno wytwórni rur kanalizacyjnych w Gdańsku, Kon wietrząc dobry interes, wyjechał nad morze. Fabryczka była tania. W Gdańsku nie znajdowała ona zbytu na rury. A Kon przeczuwał, że lada dzień władze miejskie w Łodzi przystąpią wreszcie do skanalizowania centrum miasta. Dotychczas kanalizację posiadały tylko niektóre fabrykanckie pałace.

W trakcie załatwiania gdańskich interesów dotarły do Kona niepokojące wiadomości z Łodzi, z Rosji: rewolucja. Gazety przynosiły tendencyjne wieści o mordowaniu fabrykanckich i kupieckich rodzin, o pożarach i pogromach, o rabowaniu sklepów i składów, o strajkach, barykadach i walkach ulicznych. Znajomi Kona — stateczni mieszczanie gdańscy, patrzyli tedy z przerażeniem na Oskara, kiedy ten po pewnym czasie oświadczył, że postanowił wracać. We wrześniu wyruszył w drogę.

Pociąg był prawie pusty. Wszędzie widać było ciągnące oddziały wojska. Kiedy Kohn wysiadł na Dworcu Fabrycznym, ujrzał pilnujących stacji kozaków, wyludnione ulice, w dali — pożary. Kominy fabryczne nie dymiły.

Łódź wyglądała, jak wymarłe miasto. Wzdłuż Dzielnej i Średniej chodnikami kłusowała kawaleria. Na Piotrkowskiej zatrzymano go. W czasie rewizji musiał stać z rękoma podniesionymi do góry. Na Południowej wznosiła się barykada. Ta część miasta opanowana była przez rewolucjonistów. Zanim dotarł do domu, już na ulicy usłyszał o śmierci swego pryncypała Kunitzera. Starego fabrykanta zastrzelono w tramwaju za to, że on pierwszy kazał sprowadzić Kozaków na teren fabryki i polecił szarżować strajkujących robotników. Ofiarami tej szarży zapełniono cały szpital. Wyrok na Kunitzerze wykonał robotnik z fabryki Desurmonta i Ski, członek bojówki PPS.

Kon nie miał czasu, by dumać nad losem Kunitzera. Jego mieszkanie zaczęli zapełniać znajomi ze Starego Miasta i Bałut. Uchodzili oni ze swych domów. W dzielnicy żydowskiej biedoty, kozacy urządzali pogrom. Do kozaków przyłączyły się różne męty społeczne i lumpenproletariat. Pladrowano sklepy i mieszkania.

Na rozruchy i strajki carat odpowiadał organizowaniem pogromów. Miały one zwrócić gniew robotników w kierunku Żydów, spełniając rolę swoistej klapy bezpieczeństwa — dawać ujście żywiołowo powstałym zamieszkom. Odwracać ich ostrze od klas posiadających.

W 1905 r. sztuczki takie już się nie wszędzie udawały. Hasłom pogromowym dawały posłuch tylko lumpenproletariackie szumowiny. Robotnicy zazwyczaj występowali przeciwko kozakom i „czarnej sotni" Władze chętnie wykorzystywały te preteksty do krwawego tłumienia robotniczych strajków i manifestacji.

Oskar Kohn przyjął wieści o pogromie na Bałutach z mieszanymi uczuciami. Carskich Kozaków traktował przecie jako naturalnych sprzymierzeńców, broniących skóry i własności zarówno jego, jak i członków klasy, do której już należał. Z drugiej strony carska konnica strzegąca jego klasowych interesów, występowała przeciwko jego współwyznawcom-krewnym, przyjaciołom i znajomym. Kon rozwiązał ten moralno-polityczny problem z właściwym sobie rozumem. Od pamiętnych dla Łodzi wydarzeń 1905 roku zwykł był mawiać: „Bogaty Żyd przestaje być Żydem". Słowo „Żyd" oznaczało bowiem człowieka poniewieranego i gnębionego. A przecie właśnie teraz, w czasie, kiedy jedne oddziały kozackie masakrowały żydowską biedotę z Bałut i Starego Miasta, inne ochraniały pałac Poznańskiego, pogrom umocnił go w postanowieniu dorównania Poznańskim.

Na razie czas nie był sposobny do głośnego snucia podobnych rozważań. Do mieszkania Oskara przybył nocą jego sędziwy ojciec wraz z grupą poważnych kupców żydowskich. Mieli się naradzić, co robić. Istniało poważne niebezpieczeństwo rozszerzenia się pogromu na śródmieście, a kto wie, czy nie na inne miasta Polski. Na Bałuty wciąż ściągały rozmaite szumowiny, kierowane podobno przez przebranych oficerów żandarmerii. Wojsko otrzymało rozkaz nieinterweniowania.

Obecni zdecydowali, że rano należy dotrzeć do general-gubernatora i prosić go o interwencję, zmierzającą do przerwania pogromu. Pozostawało tylko ustalić przypuszczalną sumę, za jaką gubernator zgodziłby się wysłuchać delegacji starozakonnych poddanych Cara Wszechrosji. Wokół tej sprawy rozgorzała bardzo namiętna dyskusja. Zbyt mała suma mogła tylko obrazić gubernatora, zbyt wysoka trudna była do zebrania w ciągu kilku nocnych godzin, poza tym — wszystkim szkoda było pieniędzy. Lewi Kon mówił o Bogu, który karze za grzechy. Przerwano mu, wymieniając cyfrę: milion. Oskar na słowo „milion" zerwał się jak oparzony, krzycząc, że to wyrzucanie pieniędzy za okno. Lewi Kon mówił o Bogu. Oskar o tym, co to za suma, taki milion i że gubernator nigdy takiej kwoty nie widział na oczy. Lewi ciągnął, że Bóg karze Żydów za grzechy i za chciwość. Oskar głosował za sumą dwustu tysięcy rubli. Wreszcie i jego ojciec podjął rozmowę na ziemskie tematy. „Ty dasz 150 tysięcy" — zwrócił się do Oskara. Oskar zaczął zaklinać się na wszystkie świętości, że takiej sumy w ogóle nie ma. Napomknięcie o świętościach z powrotem naprowadziło dyskusję na kwestie religijne. W jej wyniku postanowiono „przekazać" gubernatorowi dwieście tysięcy rubli i w razie potrzeby dostarczyć w późniejszym terminie dodatkowych „argumentów" za skierowaniem wojska dla ochrony Żydów. Oskar dał dziesięć tysięcy.

Rano Kon i Bielszowski udali się do Jego Ekscelencji. Gubernator nie od razu ich przyjął. Konferował właśnie z przemysłowcami. Jeden z uczestników narady wyszedł na chwilę do poczekalni. Kohn dowiedział się od niego, że oddziały robotnicze uzbrojone w broń palną weszły do dzielnic objętych pogromem. Do „buntowników" przyłączyła się biedota żydowska. Ustawiono barykady.

Adiutant zaprosił Kona i Bielszowskiego do gabinetu gubernatora. Zanim Bielszowski zdążył otworzyć usta, Kohn jął wygłaszać gładkie przemówienie, sławiące dom panujący, potępiające „buntowników" w ogóle, a żydowskich, bratających się z rewolucją — w szczególności. Na zakończenie poprosił o przyjęcie małego podarunku pięćdziesięciu tysięcy rubli, aby pani generał-gubernatorowa mogła wybrać sobie jakiś „drobiazg" u jubilera. I wsadził powyższą sumę w łapę carskiemu dostojnikowi. O pogromie Kon nie wspomniał ani słowem.

Wyszli z gabinetu. Bielszowski nic nie rozumiał. Kon cierpliwie zaczął mu tłumaczyć, że skoro robotnicy weszli do dzielnicy żydowskiej, tzn., że pogromu już nie ma i wojskowa interwencja nie jest potrzebna. Żydów bronią robotnicy.

Kon zadowolony wracał do domu. Bądź co bądź w ciągu jednego poranka zaoszczędził sto pięćdziesiąt tysięcy rubli.

W środowisku łódzkich kupców żydowskich długo kiwano głowami nad jego mądrością.

Co prawda, nie było mu pisane wybawić Żydów od pogromu — wyręczył go w tym łódzki proletariat, ale przynajmniej ocalił pieniądze. A to znaczyło równie wiele.

Tego dnia na Starym Mieście robotnicy rozstrzelali kilku prowokatorów-prowodyrów pogromu i przy pomocy znanych z bitności żydowskich tragarzy wyparli lumpów z dzielnicy.

Biedota żydowska znalazła oparcie w klasie robotniczej. Wzrastało też jej poczucie wspólnoty z proletariatem i wiedza o tym, że front walki przebiega nie pomiędzy Żydami i nie-Żydami, ale pomiędzy wyzyskiwanymi i wyzyskiwaczami, niezależnie od ich narodowości.

Rewolucja 1905 roku została zdławiona. Do Łodzi powrócił „porządek i spokój" — jak pisały ówczesne gazety. Ów porządek i spokój przyniósł dla bohatera niniejszej opowieści poważne życiowe kłopoty.

Po śmierci Kunitzera rządy fabryką objął jego przybrany syn, Wunsche. Kapitał zakładów był uszczuplony. Stary Kunitzer nadwątlił go, zapisując spore sumy dalekim krewnym, oraz instytucjom dobroczynnym.

W przemyśle panował w ogóle jeszcze zastój. Rodzina Heinzlów — współwłaścicieli Wimy, intensywnie zajmowała się wyciąganiem gotówki z fabryki, nie chcąc obniżyć „baronowskiego" standartu życiowego, tj. zaniechać hucznych polowań w julianowskich dobrach. W rezultacie pracowało tylko pół fabryki. Akcje Wimy leciały na giełdzie na łeb na szyję.

Kiedy po długim lokaucie, który nastąpił po strajku powszechnym Oskar Kon po raz pierwszy przyszedł do fabryki, nowy jego szef, który ogromnie nie lubił Kona, kazał go wyrzucić za bramę i zapowiedział portierowi, że noga Oskara nie ma prawa nigdy odtąd stanąć na terenie fabryki. Owo „nigdy" okazało się dosyć względnym pojęciem, tą wszakże uwaga dotyczy już przyszłości. Na razie Kon stracił ciepłą posadę. Czekał więc Oskar cierpliwie, co przyniesie przyszłość i tymczasem lokował uzyskane zamówienia na łódzkie tekstylia w zakładach Scheiblera. Tylko w ten sposób mógł się nieco zemścić nad Wunschu.

Niebawem jednak poczuł, że na rynku łódzkiego businessu odbywa się polowanie zmierzające do zawładnięcia podupadłą Wimą. Spadek kursu akcji na giełdzie został zahamowany. Ktoś je wykupywał. Kon zorientował się, że ze strony tego „kogoś" nie może to być zwykła lokata kapitału. Wima w tym momencie była bardzo niepewnym interesem. Ktoś, kto kupował akcje, mógł mieć w tym jeden tylko cel: przejęcie zarządu fabryką. Moment wybrał po temu właściwy. Nigdy dotąd akcji Wimy nie można było kupić tak tanio.

Wkrótce Oskar Kon dowiedział się, kto jest tym tajemniczym kupcem. Akcje nabywała bankierska firma Maksymiliana Goldfedera. Kon nie miał wątpliwości, że Goldfeder działa nie w swoim, albo przynajmniej nie tylko w swoim imieniu. Aktywa banku Goldfedera nie wykazywały możliwości rzucenia na rynek dwóch milionów rubli, koniecznych dla zapewnienia sobie większości głosów w zarządzie spółki akcyjnej Widzewska Manufaktura — tj. zdobycia przynajmniej 51 procent akcji. Doszedł więc do wniosku, że za Goldfederem stoi baron Tanfani, który ma już w ręku około 30 procent akcji, jest więc rzeczą naturalną, że pragnie uzupełnić portfel i przejąć rządy nad podupadającą fabryką.

Kon usiadł, pomyślał i doszedł do wniosku, że Goldfeder działa na polecenie Tanfaniego, a jednocześnie przeciwko włoskiemu baronowi. Wpierw bowiem kupił — za niższą cenę, pakiet akcji dla siebie, podbił tym samym cenę, każąc Włochowi drożej płacić i zabezpieczył sobie udział w przyszłych dochodach Wimy.

Kon już wtedy marzył o zawładnięciu Wimą. Na razie jednak wydawało się, że są to marzenia nieziszczalne. Nie miał wystarczającej ilości pieniędzy, aby włączyć się do gry. Aby jednak jakąś pieczeń, choćby skromną, ale własną, upiec przy tym ogniu, uciekł się do sposobu sobie właściwego, takiego, jaki zwykł zawsze potem stosować. Wysłał mianowicie list do barona, donosząc mu o podwójnej grze Goldfedera. List zrobił właściwe wrażenie. Włoch natychmiast zjechał do Łodzi i jął konferować z Oskarem.

Akurat Wunsche zachorował. Jeśli umrze — zacierał ręce Kon, wyjaśniając cały plan Tanfaniemu — rodzina Kunitzerów będzie musiała sprzedać pośpiesznie akcje fabryki wobec wyraźnej perspektywy bankructwa. Warto więc powstrzymać się z ich kupowaniem. Niebawem mogą być tańsze.

Wszystko stało się tak, jak przewidywał Kon. Wunsche umarł w szpitalu na Widzewie, a Tanfani stał się właścicielem decydującego o zarządzaniu fabryką portfelu akcji, kupionych po minimalnej cenie. Goldfeder został wyprowadzony w pole. Był on wierzycielem Widzewa. Nie mógł sprzedać nabytych akcji bez poważnej straty i nie mógł ściągnąć z Widzewa swoich pieniężnych należności, gdyż w ten sposób osłabiłby Wimę, a tym samym jeszcze bardziej obniżył wartość posiadanych akcji. Sprytny bankier wpadł w pułapkę. Napotkał godnego siebie przeciwnika. Odtąd musiał, wszedłszy do zarządu Widzewa (bez nadziei na głos decydujący), wiernie służyć interesom Tanfaniego.

Kon wygrawszy pierwszego robra w rozgrywce z Goldfederem, triumfalnie wrócił do fabryki, z której wygnano go za bramę i szykował się do zarzucenia sieci nie tylko na Goldfedera, ale samego barona Tanfaniego. Nie prędko jeszcze miało mu się to udać.

ZA TYDZIEŃ

Oskar Kon szykuje się do wielkiego skoku

Szczęściarz. — Pieniądze i dzieci. — Panią Kon gnębi niepokój. — Jej zuchwały, jedyny w życiu dłuższy monolog. — Oskarowy wykład o „duchu czasów". — Przymierze z Maksymilianem Goldfederem. — Przynęta na szczupaka. — W przededniu wojny 1914 roku.

A jednak **burza trwa**

Sytuacja dyrekcji Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, a także — jak przypuszczamy — ogólnopolskiego kierownictwa telewizji, bynajmniej nie jest łatwa: atak idzie za atakiem, a gwałtowność tego szturmu bynajmniej nie maleje z biegiem czasu.

Tak na przykład w czwartek 8 września przy „telefonie usługowym" „Dziennika Łódzkiego" zasiadł dyrektor Ł.O.T. — mgr Władysław Orłowski i — sądząc po tym, co następnego dnia opublikował „Dziennik" — otrzymał cały szereg nielatwych i drażliwych pytań.

Odpowiedzi na większość z nich były — oględnie mówiąc — wymijające. Zapytany o przyczynę słabości programu letniego, dyr. Orłowski raz jeszcze powtórzył, że wynikało to głównie ze skąpych środków materialnych, jakie były na ten program łożone i wyraził przypuszczenie, że już najbliższe tygodnie powinny przynieść wydatną poprawę. Zapytany o powód dla którego personel spikerski Ł.O.T. nie stoi na zbyt wysokim poziomie — odpowiedział, że przyjmuje to jako jeszcze jeden sygnał, ale że „... wybór spikerki czy spikera — to problem bardzo złożony i niełatwo jest znaleźć odpowiednich kandydatów".

— Czy będzie program przedpołudniowy, podobnie jak na Śląsku? — Przeprowadzimy ankietę wśród telewidzów i ewentualnie wystąpimy z wnioskiem do Warszawy.

— A co z „martwymi wtorkami"?

— To sprawa powiększenia personelu, być może z początkiem przyszłego roku zaczniemy na początek nadawać we wtorki film fabularny i dziennik.

— Filmy archiwalne? — Centralny Urząd Kinematografii robi trudności. Spróbuję interweniować.

— Filmy amerykańskie? — Amerykanie nie chcą dawać.

— Zakłócenia w odbiorze? — Brak części wymiennych, zwłaszcza jeżeli chodzi o lącza na trasie.

I tak dalej i tak dalej — opowiadamy rzecz w skrócie i własnymi słowami, ale ton wszystkich tych wypowiedzi jest chyba jasny: jesteśmy prawie bezradni, mamy skąpe środki materialne, niemal o wszystkim decyduje Warszawa, a ta też boryka się z trudnościami.

Wszystko to brzmi właściwie przekonywająco, ale — z drugiej strony — dochodzimy chyba do punktu, w którym sprawa nakładów finansowych na telewizję zaczyna dojrzewać do dyskusji na najwyższym forum, na forum sejmowym. Ostatecznie w sejmowej Komisji Kultury zasiadają również posłowie łódzcy, zasiada poseł Eugeniusz Ajnenkiel — być może on również powinien zabrać głos? Poseł Ajnenkiel przebywa w tej chwili na urlopie wypoczynkowym, będziemy go jednak w najbliższym czasie prosili o wypowiedź dla naszego pisma — mnożących się głosów niezadowolenia nie można bowiem lekceważyć i z pewnością nikt ich lekceważyć nie chce.

I jeszcze jedna sprawa, łącząca się tym razem z byłym Klubem Przyjaciół Telewizji.

„Klub umarł śmiercią naturalną — mówił dyrektor Orłowski. — Były zresztą swego czasu między nami a niektórymi członkami klubu różnice zdań, co do roli klubu. Ta forma kontaktu z telewidzami nie zdała jakoś próby życia. Myślę, że trzeba zorganizować to inaczej — w formie spotkań z telewidzami, a nie obowiązkowych zebrań".

Otóż do redakcji naszej nadszedł list, opatrzony czterema podpisami członków byłego Klubu Telewizji, który osobno publikujemy w pewnym skrócie, nie mogąc powstrzymać się zarazem od krótkiego komentarza. Wydaje się nam mianowicie, iż najostrzejszej nawet bylejrzetelnej krytyki programu telewizyjnego, nie można w żadnym wypadku mieszać z wycieczkami i atakami personalnymi i dla tych ostatnich mimo wszystko nie będziemy otwierać łamów naszego pisma. Stąd skróty w liście — nazwiska autorów są znane redakcji.

TELEwizja

O krytykę wyzwoloną,

czyli

aby trudne sprawy telewizji, stały się łatwiejsze

Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na wezwanie Redakcji i w nawiązaniu do opublikowanego w n-rze 34 „Odgłosów" — „Listu od telewidza", pragniemy dołączyć swój głos i wyrazić opinię na tematy w nim poruszone.

Jest rzeczą bezsporną, iż musi istnieć możliwość wymiany poglądów między telewidzami i kierownictwem telewizji.

Jedyna dostępna obecnie dla przeciętnego telewidza forma — telefon lub list, jest absolutnie niewystarczająca, a to z tej prostej przyczyny, że interwencja trafia w ręce ludzi bezpośrednio zainteresowanych, którzy mogą nadać jej — w zależności od treści i sytuacji — taki lub inny bieg.

Artykuły w prasie łódzkiej mają charakter ogólnikowy, omijają sedno zagadnienia i nie nazywają często rzeczy po imieniu.

Musimy sobie jasno zdawać sprawę, że my łodzianie, poprawy jakości audycji powinniśmy wymagać przede wszystkim od Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego.

(...)

Z artykułu zamieszczonego w dniu 30. VIII. br. w „Głosie Robotniczym" pt. „TELEWIZJI — TRUDNE SPRAWY", czytelnicy dowiadują się od ob. dyr. Władysława Orłowskiego, iż nie ma potrzeby bicia w dzwon alarmowy i że stanowisko „płacę i wymagam" bez uwzględnienia realnych możliwości, niedaleko nas zaprowadzi.

Nie zgadzamy się z tym.

Kto na przykład przeszkodził Ł.O.T. w nadaniu dobrej audycji w dniu 22 lipca? Audycja szła w programie ogólnopolskim i miała obrazować dorobek Łodzi po wyzwoleniu oraz pokazać, jak mieszkańcy naszego miasta bawią się z tej okazji. Był wóz transmisyjny, były więc wszystkie warunki. Wynik — wielka antypropaganda i kompromitacja.

Jak to się stało, że audycja z okazji 10 lecia Teatru Nowego wypadła jak wizyta przedszkolaków u dyrektora telewizji?

Takich przykładów można niestety cytować znacznie więcej — to jednak chwilowo osobny rozdział.

(...)

Pragniemy przypomnieć, że od kilku lat istniał Klub Przyjaciół Telewizji powołany do życia dzięki inicjatywie red. E. Szustra i garstki pierwszych telewidzów.

Klub ten gromadził członków z różnych środowisk przedstawicieli zakładów produkcyjnych i mieszkańców spoza Łodzi.

W zebraniach Klubu brali oficjalnie udział przedstawiciele K. Ł. PZPR oraz Rady Narodowej m. Łodzi.

I oto w momencie wzmożenia aktywności i uzyskania popularności wśród szerokiego grona telewidzów — działalność Klubu została uniemożliwiona.

Uważamy że KLUB Przyjaciół Telewizji był właściwą formą wymiany poglądów między telewidzami a telewizją i przywrócenie jego działalności dla poprawy obecnie istniejącego stanu jest rzeczą konieczną.

(...)

Z radością witamy możliwość zapoczątkowania na łamach „Odgłosów" dyskusji na temat pracy Ł.O.T.

Jesteśmy przekonani, że słuszna inicjatywa społeczna domagająca się możliwości przekazywania swych uwag opinii co do jakości „produkowanego" artykułu bezpośrednio „producentowi" winna znaleźć warunki rozwoju także i w dziedzinie telewizji.

GRONO CZŁONKÓW KLUBU PRZYJACIÓŁ TELEWIZJI

„TEATR WIELKIEJ SAMOTNOŚCI"

Pod tym tytułem Leszek Prorok zamieszcza w ostatnim numerze „Teatru" interesujące uwagi na temat aktorstwa telewizyjnego. Pisze m. in. **„Konieczność bliskich ujęć wyciska swe piętno na grze i charakteryzacji, podobnie jak bliskość zawieszonego na wędce tuż nad głową mikrofonu, wymaga odmiennej gospodarki głosem. W teatrze mówi się i gestykuluje pod kątem potrzeb dwunastego, piętnastego rzędu tj. środkowych miejsc parteru, jeżeli zgoła nie pod kątem galerii, co również przesądza o sposobie nakładania szminek na twarz i rodzaju fryzury. W teatrze telewizji kamera chętnie zatrzymuje się na szczegółach postaci grających, wpatruje im się z bliska w oczy, śledzi drgnięcia muskułów twarzy czy grę warg. Nie ma więc przesady w twierdzeniu, iż właściwym aktorem teatru telewizji jest nie człowiek, lecz twarz ludzka. I dalej: „Wystarczy trochę nieuwagi i rozluźnienia dyscypliny planu telewizyjnego, by gra najbardziej sugestywna, porywająca inscenizatora pracowników brygady technicznej, kamerzystów i dyżurnego strażaka, wydała się telewidzom całkiem mierna, a to dlatego, iż zakłócony porządek i utrwalenie ujęć uciął i pozostawił poza kadrem oraz zasięgiem mikrofonu lub zdeformował najcenniejsze efekty gestu czy słowa, a w każdym razie zamącił ich proporcję".**

Dwa te cytaty wyrwaliśmy nie przypadkowo z artykułu — chcemy bowiem już począwszy od najbliższego numeru rozpocząć cykl rozmów z aktorami i reżyserami telewizyjnymi, zadając im jedno tylko podstawowe pytanie: Czym zdaniem pana (i) różni się praca aktora w teatrze i w telewizji?

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

W tym tygdniu nie możemy narzekać — program, oczywiście jeżeli chodzi o zapowiedzi, jest wcale ciekawy — niezła była miniona niedziela i poniedziałek, nieźle zapowiadają się następne dni tygodnia.

W czwartek 22 bm. program rozpoczyna my pozycjami dla dzieci młodszych już o godz. 17.00 (m. in. niezawodny „Miś z okienka"). O 17.30 filmy krótkometrażowe dla dzieci, Młodzieżowy Klub Telewizyjny o 18.00, następnie Łódzka Kronika Filmowa, P.K.F., dziennik telewizyjny, o 20.00 program z interesującego cyklu „Wszyscy jesteśmy sędziami", wreszcie o 20.45 — „Kobra".

„Kobra" idzie z Warszawy, autor scenariusza — Janusz Jaxa, realizator — J. Słotwiński, tytuł — „Rzeczy nie kłamią". W spektaklu weźmie m. in. udział nasza dobra łódzka znajoma — Alicja Raciszówna.

A propos Raciszówna. Będąc ostatni raz „przelotem" w Łodzi p. Alicja opowiadała nam, jak parę godzin przed wejściem pewnego widowiska na wizję prosiła aktora B., aby zagrał coś „specjalnie dla niej". Aktor wznosząc okrzyki w rodzaju „Daj spokój, no też mas pomysł", odżegnał się oczywiście od wszystkiego, ale potem — nie wytrzymał. Mówił właśnie o swoich uczniach, powiedział: „Miałem kiedyś uczennicę ...imieniem Ala... która" i tu na krótki moment rad nie rad zaczął dusić się od tłumionego śmiechu. Ze swojej strony prosiliśmy tedy Raciszównę żeby zagrała coś dla „Odgłosów". Powiedziała — Dajcie spokój też macie pomysły!

Wracamy do programu. **Piątek 23 bm.** O 18.15 — wszechnica telewizyjna, następnie program dokumentalny, dzien-

nik telewizyjny, o 20.00 film krótkometrażowy z Łodzi i o 20.15 wiele już wieków pamiętająca, ale wciąż niezawodnie zabawna komedia Plauta „Kupiec" z Katowic.

Sobota 24. bm. O 17.00 — quiz fotograficzny dla dzieci starszych. O 18.40 felieton filmowy z cyklu „W krajach socjalizmu", o 18.55 — „Pegaz" dziennik telewizyjny, program tygodnia, o 20.20 film fabularny produkcji USA pt. „Storczyki ci powiedzą", ostatnie wiadomości i o 22.00 z Warszawy program rozrywkowy. Ma to być ponoć wieczór niespodzianek.

Na **niedzielę 25 bm.** ponownie zapowiadamy realizowaną przez Ł.O.T. adaptację humoreski Twaina pt. „Jak redagowałem gazetę rolniczą" pod tytułem „Kłopoty redaktora". Rzecz reżyseruje Jerzy Walden.

Życzymy dobrego odbioru.

BALET

W sprawie baletu — nic nowego. Ale prezentujemy zdjęcie z baletu zrealizowanego ostatnio w Operze Łódzkiej. Tańczą: J. Skulletły i E. Kowalczyk

Warto obejrzeć

W tej chwili eksponowane są w Łodzi dwie interesujące wystawy plastyczne. Pierwsza, którą oglądać można w Galerii Sztuki w parku Sienkiewicza, to ekspozycja warszawskiego malarza Jana Kucharskiego. Jest to (podkreślamy!) druga w tym sezonie wystawa w galerii malarza ze środowiska warszawskiego.

Inna, tym razem łódzka ekspozycja, to wystawa prac malarskich Marii Güntner-Kawalerowicz. Obejrzeć ją można w niewielkim salonie CBWA przy ul. Piotrkowskiej 102.

A na zakończenie coś z zagranicy. W lokalu wystawowym Polskiego Towarzystwa Fotograficznego (A. Struga 2) wystawiono bardzo interesujący zestaw fotografii chińskiej.

I to by było wszystko, czym łodzianie mogą w wolnych chwilach oczy nacieszyć.

Co nowego na Bałutach?

Jak nas ostatnio poinformował kierownik bałuckiego Domu Kultury, Jerzy Tynecki, postulaty działaczy kulturalnych i prasy odnośnie przekazania tej placówki terenowym władzom Bałut zostały nareszcie spełnione. Już bowiem od 1 stycznia Bałucki Dom Kultury stanie się w pełni samodzielny i uniezależniony od uprzedniego zwierzchnika, którym był ŁDK.

Sądzimy, że decyzja jest nadzwyczaj słuszna, bo przecież któż lepiej orientuje się w problemach kulturalnych dzielnicy, jak nie dzielnicowy referat kultury. Dlatego „Odgłosy", które na ten temat wielokrotnie pisały, cieszą się bardzo z decyzji usamodzielnienia bałuckiego DK.

Dziwny remont

Niezwykle oryginalnie załatwiono sprawę odnowienia wnętrz w aleksandrowskim Domu Kultury. Ponieważ zbliża się jesień i, co za tym idzie, popularność tego typu placówek wzrasta, postanowiono renowację przeprowadzić właśnie teraz. Wydawać by się mogło, że logika nakazuje podobne prace wykonywać latem, kiedy świetlice świecą pustkami. Okazuje się jednak, że istnieją urzędnicy, którzy myślą inaczej. Co prawda, niesłusznie, ale za to oryginalnie.

Wasyl Kocznow poeta łódzki

Mało osób wie zapewne, że w naszym mieście żyje i tworzy młody poeta radziecki, p. Wasyl Kocznow. Wasyl Kocznow w czasie studiów (filozofia i dziennikarstwo) na Uniwersytecie im. Mikołaja Łomonosowa w Moskwie, poznał p. Sabinę Nowicką, Polkę, studiującą w Związku Radzieckim filologię rosyjską.

Tej znajomości zawdzięczamy fakt, że w Łodzi, w redakcji „Głosu Rosyjskiego" pracuje dziś młody, obiecujący poeta radziecki, który — co jest dla nas szczególnie ważne — tłumaczy na rosyjski utwory polskich pisarzy. Pan Kocznow przekłada nie tylko wiersze poetów starszego pokolenia (Staff), ale ma również na swym warsztacie tłumaczenia poetów łódzkich.

Ostatnio Wasyl Kocznow pracuje nad dużym opowiadaniem o tematyce polskiej. Poza tym pisze nowe wiersze. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że p. Kocznow jest już autorem dwóch zbiorów poezji.

Mamy nadzieję, że polski czytelnik będzie miał okazję poznać wiersze z nowego przygotowywanego tomu.

A może tak Klub Międzynarodowej Prasy i Książki pokusi się o zorganizowanie spotkania pisarza z polskimi czytelnikami? Sądzimy, że byłaby to impreza niezwykle interesująca.

Podobno...

Podobno pomiędzy dwojgiem łódzkich dziennikarzy, którzy bawili ostatnio we Włoszech, istnieje rywalizacja, kto więcej „wydusi" reportaży z owej kilkudniowej wycieczki.

Wydaje się jednak, że rekord pewnego łódzkiego dziennikarza, który kilka lat temu bawił przez parę dni w Anglii, nie zostanie pobity. Chociaż, kto wie? W każdym razie radzimy Czytelnikom śledzić prasę codzienną. Walka zapowiada się ciekawie.

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12,— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" O Druk: RSW Prasa" — Łódź, Żwirki 17. O Zam. 2815. IX. 60. R-4

W sprawie „afery nie z tej ziemi"

Listy do redakcji

Do redaktora naczelnego „ODGŁOSÓW"

Z przykrością stwierdzilem, że wspomnienie moje pt. **„Po „Meteorze" była „Budowa"** które się ukazało w „Odgłosach" z datą 11. IX. 1960 r., nosi ślady skrótów poczynionych przez Redakcję, w wyniku czego wyeliminowane zostało z mojego tekstu nazwisko krytyka i publicysty, Bolesława Duzińskiego. A przecież w moim pierwotnym tekście wspominam o Dudzińskim dwukrotnie, cytując nawet słowa jego artykułu, omawiającego z aprobatą ogłoszoną w latach międzywojennych deklarację ideową kilkudziesięciu polskich pisarzy, stających w obronie postępu, pokoju i kultury. Fakt zamieszczenia tego artykułu w „Budowie" świadczył, że jej redakcja również solidaryzuje się z wymienioną deklaracją.

Mam nadzieję, że Redakcja „Odgłosów" zechce opublikować mój list, aby dać przede wszystkim satysfakcję Bolesławowi Dudzińskiemu, który w „czasach pogardy" odważnie występował nie tylko w „Budowie", ale również na łamach prawie wszystkich postępowych pism w Polsce,

Z poważaniem

CZESŁAW GARDA

W piśmie naszym (łódzkim) w „Odgłosach" w nr 32 (128) ukazała się w rubryce „Kupić nie kupić" notatka pt. **„Afera nie z tej ziemi"**. Zarząd Okręgu n/Związku na tę notatkę przesłał dnia 27. VIII. 60 r. listem poleconym, nadesłany nam przez Zarząd Główny protokół, w którym dokładnie wyłuszczone są powody zwolnienia ob. Edwarda Kowalskiego ze stanowiska kierownika kina „Polesie", nadzorowanego przez Zarząd Okręgu n/Związku.

Autorowi tej notatki nie chodziło prawdopodobnie o wyjaśnienie powodów zwolnienia ob. Kowalskiego, albo też nie zadał sobie trudu przeczytania przesłanego do Redakcji protokółu, w którym dokładnie scharakteryzowano osobę i działalność ob. E. Kowalskiego, i decyzję o zwolnieniu go z zajmowanego stanowiska.

W nr 35 (131) w „Odgłosach" w tej samej rubryce ukazała się druga notatka pt. **„Afery ciąg dalszy"** i w związku z tą notatką wyjaśniamy:

1) Obowiązku odpowiadania na krytykę prasową dotrzymaliśmy — mamy pokwitowanie z polecone j przesyłki pocztowej (Protokół Zarz. Głównego z dnia 19. VIII. 60 r.) wysłanej do Redakcji „Odgłosów".

2) Ob. Tarnowski (personalnie) działa w oparciu o przepisy państwowe i w oparciu o podjęte kolektywnie Uchwały Prezydium lub Plenum Zarządu i przed tym Prezydium lub Plenum za swoje czynności w pełni odpowiada (w sprawach Związku).

3) Opinia (personalna) autora notatek zamieszczonych w „Odgłosach" o „działaczu kulturalnym i społecznym z prawdziwego zdarzenia" jest opinią osobistą autora notatki i przy niej może on pozostać. Opinia pracodawcy ob. E. Kowalskiego, którym był Zarząd Okręgu n/Związku jest nieco inna — posiadamy na to dostateczną ilość dokumentów, które możemy dać do wglądu każdemu, kto zechce zadać sobie odrobinę trudu na czytanie dokumentów.

4) Ob. E. Kowalski kompromitował placówkę, w której pracował, występując w szeregu ról, skeczów i „artystycznych" popisów, reżyserowanych przez siebie i kontrolowanych przez siebie, nie mając żadnych ku temu kwalifikacji.

Był to między innymi:

1) „Fakir indyjski światowej sławy",

2) „Adolf Hitler i Ewa Braun"

3) Monolog dla dzieci pt. „Pas cnoty" powtarzany wielokrotnie i wiele innych, nie mających nic wspólnego z kulturą lub oświatą, a wręcz kulturze uwłaczających.

5) Ob. E. Kowalski dewastował kino i jego urządzenia — czym doprowadził do inspekcji straży poż. która protokółem zaleciła usunięcie usterek, spowodowanych przez niego.

6) Ob. E. Kowalski pieniądze z utargu za poranki, co jest wbrew przepisom i nakazowi, wydawał na przyjęcia i poczęstunki, oraz na inne cele, których z właścicielem pieniędzy nie uzgadniał.

7) Ob. E. Kowalski przez intrygi i nieodpowiedni stosunek do podległego sobie personelu zniechęcał ludzi do pracy i doprowadził do nieprzyjemnych między nimi stosunków.

8) Ob. E. Kowalski pod pieczątką Zarządu Okręgu nieupoważniony do tego sam sobie wystawił pozytywną opinię.

9) Ob. E. Kowalski nie wywiązywał się dobrowolnie z zobowiązań finansowych wobec instytucji (C. W. F., P. P. „Dom Książki") oraz osób prywatnych (bileterka, bufetowa), nie mówiąc o tym, że sam sobie wypłacał zaliczki, nie będąc do tego upoważnionym.

Sądzimy, że wymienione powody były dostateczne do rozwiązania stosunku, który zgodnie z Uchwałą Zarządu Okręgu i w oparciu o przepisy Prawa Pracy został rozwiązany.

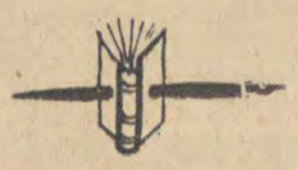

Prosimy Ob. Redaktora Naczelnego o umieszczenie powyższego i oświadczamy, że więcej na temat ob. Edwarda Kowalskiego głosu na łamach prasy my zabierać nie będziemy.

Sekretarz Z. O.
T. ĆWIKLIŃSKI

Przewodniczący Z. O.
ST. TARNOWSKI

odpowiadamy

Mimo opinii w tej sprawie p. Tarnowskiego, redaktor rubryki „Kupić nie kupić" zastrzega sobie jednak powtórne zabranie głosu na temat kierownika kina „Polesie".

Łódzki BIGOS HISTORYCZNY CZYLI

WODOCIĄGI ŁÓDZKIE...

...Towarzystwo kapitalistów z Belgii zobowiązuje się w w ciągu 5 lat skanalizować i zaopatrzyć w wodociągi całą Łódź, jak i pobliską okolicę przemysłową, kosztem 6 milj. rubli. Kapitały systemem amortyzacyjnym mają się im zwrócić po 50-ciu latach. Wodociągi i kanały mają być opracowane podług projektu tutejszych inżynierów, p. Słowikowskiego, Bronikowskiego i Somera, którzy pracowali nad tem lat kilka. Towarzystwo za projekt ten chce zapłacić z góry. Jak dotąd, nie powzięto jeszcze żadnej stanowczej decyzji w Warszawie...

NOWI AWANTURNICY

Dwóch śmiałków nowojorskich przedsięwzięło wielce śmiałą podróż z New-Yorku do Liwerpoolu w małych łódkach swoich, pierwsza ma 14 stóp długości, a druga ma prawie identyczne wymiary. Obaj awanturnicy wyjechali sami w środę ubiegłego tygodnia z New-Yorku, podobno podróże takie odbywali już kilkakrotnie!

O DOROŻKACH ŁÓDZKICH

W dalszym ciągu obrad Łódzkiego Towarzystwa nad Zwierzętami stwierdzono, że w Łodzi najwięcej przeciążone są KONIE DOROŻKARSKIE. Właściciele tych koni, wyniszczonych i ledwie żywych, przewożą na znaczne odległości wielkie ciężary, bądź też nadmierną liczbę pasażerów (często po 6—10 osób...) Obecny na zebraniu Policmajster postawił wniosek, by wnieść podanie o skasowanie w Łodzi dorożek jednokonnych, a o wprowadzenie parokonnych... Obecnie w Łodzi znajduje się 560 dorożek jednokonnych. Ostatecznie zebrani wniosek ten odrzucili i postanowili starać się o naprawę i utrzymanie w dobrym stanie ulic, szos i dróg bocznych tak w mieście, jak i w okolicy...

KUBA ROZPRUWACZ DZIAŁA...

Pojawił się on znów w Londynie, nadesłał list, który brzmi. „George Yard. Whitechapel. Mam zamiar rozpocząć wkrótce znów swoje operacye w tej okolicy. Gdybyś pan, lub pańskie towarzystwo piekielne (policya) spróbowali odkryć moją kryjówkę, to do pomóż mi Boże... w sercu nóż utopię. Strzeżcie się zatem, słuchajcie mojej przestrogi i pozostawcie mnie w spokoju. Z uszanowaniem Kuba Rozpruwacz — G. W. B. są początkowymi literami mego nazwiska"...

WINA TELEGRAFU

Ach, ci małżonkowie. Pewna młoda małżonka telegrafowała z Berlina do swego męża, bawiącego od pewnego czasu w Peszcie: „Najdroższy HENRYKU, jesteśmy wszyscy zdrowi, pisz prędko i pozostań wierny twojej Mini". Dnia następnego młoda małżonka odbiera depeszę następującą: „Niestety, telegram twój odebrałem za późno. Henryk",

NOWA CUKIERNIA W ŁODZI

Cukiernia Aleksandra Roszkowskiego, dawniej Reymonda — poleca cukry deserowe, czekoladki... petifury, lody, kremy, galarety, piramidy weselne, torty fantazyjne. Na składzie produkty z fabryk: E. Wedla, Riesego i Piotrowskiego. Znaczny zapas gustownych bombonierek.

Z ŁODZI DO ZGIERZA...

Roboty około przeprowadzenia linii telefonicznej bezpośrednio do Zgierza... już rozpoczęto. Na razie będzie przeprowadzony tylko jeden drut telefoniczny, który połączy stacye tutejszą z sześciu abonentami zgierskimi. Za prawo korzystania z telefonu opłaca się rs 150.

Wybrał: Z. KONICKI

KĄCIK Czterech kółek

NOWINKI

Do łódzkiego „Motozbytu" nadszedł ostatnio transport „trójkołowców", ostatniej nowości naszego przemysłu motoryzacyjnego. „Trójkołowiec" to ciekawy pojazd: specjalnie przystosowany motocykl marki „Junak" ma zamontowaną z tyłu doczepkę na dwóch kołach, przeznaczoną do przewożenia towarów. Nośność takiej przyczepki 300 kg, cena całego „trójkołowca" — 33.000 zł. Atrakcyjność tego pojazdu zwiększa fakt, iż po zdemontowaniu przyczepy i założeniu tylnego koła, „Junak" może być używany jako „normalny" motocykl.

Za granicą tego typu pojazdy zdobyły sobie, szczególnie w dużych miastach, gdzie trudno poruszać się samochodem, wielką popularność. I u nas w Łodzi zainteresuje „trójkołowiec" niewątpliwie nie tylko rzemieślników i ogrodników, ale również, sądzimy, dyrekcje handlowe i gastronomiczne, borykające się ciągle z terminowymi dostawami drobnych towarów do sklepów.

MODERNIZACJA „SYRENY"

Jak zapowiadaliśmy, w naszym „Kąciku" z 20 września ub. r. przeobrażeniom technicznym miał ulec samochód marki „Syrena". Choć Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu nie dotrzymała terminów wprowadzenia ulepszeń, „Syreny" od kilku tygodni schodzą z taśmy z dwuramiennymi wycieraczkami, z amortyzatorami teleskopowymi w przednim zawieszeniu (zamiast dotychczasowych tłokowych) oraz z ogumieniem wymiaru 5.60-15, podobnie jak samochód marki „Moskwicz" 407 (do niedawna „Syrena" produkowana była na ogumieniu 5.25-16). Ostatnio dodano ozdoby „101" (model samochodu) na tablicy rozdzielczej oraz z tyłu, na bagażniku samochodu.

NASZA KRZYŻÓWKA

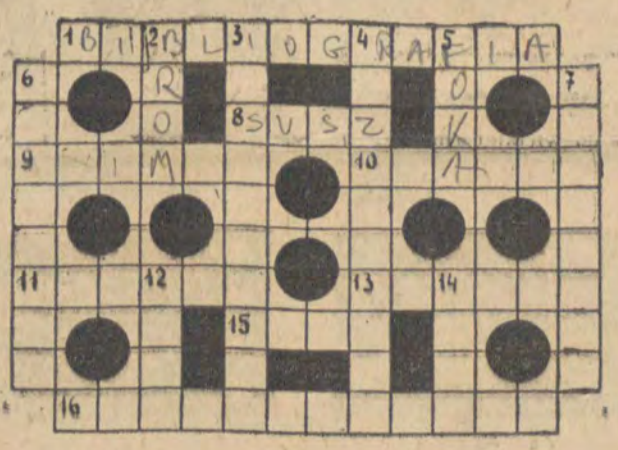

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO — 1) Załączony do dzieła wykaz źródeł, 8) Miasto powiatowe w województwie olsztyńskim, 9) Pierwszeństwo, 10) Prawodawca ateński, 11) Niespodziewany postępek, 13) Dwie kolumny połączone łukiem, 15) Ozdoba sukni, 16) Miasto powiatowe w województwie łódzkim.

PIONOWO: — 2) Środek nasenny, 3) Udzielający wskazówek i objaśnień w zakresie swojej specjalności, 4) Rozdawnictwo, 5) Zwierzę futerkowe, 6) Rzeczy potrzebne niemowlęciu, 7) Przeciwieństwo, 12 Indyjska boginii życia i śmierci, 14) Sędzia mahometański.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru

POZIOMO — polo, radar, piek, step, lupa, owal, Dakar, Rzym, towar, barka, Nogat, stopa, czar, burta, azot, alka, Laura, agar.

PIONOWO — projekcja, Oslo, reda, aparatura, alabaster, rura, park, komutator, Atena, zaraz, orka, Abel, tama, pora. Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Krystyna Bukowska**, Łódź, ul. Bystrzycka 18-20, II D.S.

2. **Waldemar Hain**, Piotrków Tryb., ul. Bolesława Bieruta 17 m. 17.

— Tu miała być kolonia domków. W ostatniej chwili zrezygnowano z budowy...

— Do diabła! Znów za małe ciśnienie gazu w kuchni...

Najostrzejsze ołówki świata

ROWLAND EMETT

Tak piszą o sobie samych Anglicy (Bernard Nicholson w znanym eseju „Angielskie poczucie humoru"):

„Ponieważ już z natury jesteśmy nieco ospali umysłowo, wolimy śmiać się z rzeczy, których nie chce nam się nawet próbować rozumieć. Objawia się to w naszym zamiłowaniu do żartów, które od pierwszej chwili rozpoznać łatwo, że są czystym nonsensem dla nonsensu... Nasz humor polega na ekstrawagancji, jest dziwaczny, groteskowy i szalony..."

To interesujące określenie humoru brytyjskiego — pasuje jak ulał do głównego nurtu angielskiej humorystyki, do tak klasycznych dzieł literatury, jak choćby „Podróże Guliwera" Swifta, czy „Trzech panów w łódce" Jerome. K. Jerome. Twierdzenia Nicholsona mogą też być kluczem do zrozumienia twórczości najwybitniejszych karykaturzystów brytyjskich naszego stulecia: Batemana, Ponta, Searla — czy wreszcie Rowlanda Emetta. Pisząc o rysunkach Emetta trudno nie powtórzyć kompletu przymiotników z definicji Nicholsona — „nonsensowne, ekstrawaganckie, dziwaczne, groteskowe, szalone"... To chyba jednak wszystkiego nie tłumaczy, określa jedynie zewnętrzne cechy emettowskiego humoru.

Ekscentryczność, fantastyka? Tak — ale nie jest ona celem samym w sobie. Rysunki Emetta ukazują kawał angielskiej rzeczywistości — upodobania, obyczaje, nawyki. Odnajdziemy w tych rysunkach niemal skatalogowane cechy charakteru narodowego, flegmę, przywiązanie do tradycji, poszanowanie rutyniarstwa, chłód uczuć, wybujałe poczucie własnej wartości. Mimo dziwacznych form odczytamy z tych rysunków więcej wiedzy o Anglii i Anglikach, niż z pozornie bardziej realistycznych (lecz płaskich i konwencjonalnych) karykatur innych grafików. Emettowska groteska jest tylko metodą krzywego zwierciadła.

Krzywe zwierciadło — ten termin narzuca się od razu, gdy mowa o plastycznych walorach tych rysunków: dziwacznie powykręcane kształty, nie tylko ludzi, ale i przedmiotów, architektury...

Emett należy do starszego pokolenia angielskich humorystów. Karierę rozpoczął na początku lat 30-tych, największą sławę zdobył tuż po wojnie, szczególnie popularne były jego rysunki, przedstawiające Amerykanów w Europie. Jest stałym współpracownikiem „Puncha".

(JERT)

HIROSZIMA MOJA MIŁOŚĆ

„Hiroszima, moja miłość" wchodzi na nasze ekrany, poprzedzona sławą jednego z najciekawszych filmów ostatnich lat. Zwracano zwłaszcza uwagę na odkrywczą, oryginalną formę, przełamującą skutecznie najtrwalsze konwencje opowieści filmowej — „płynny" montaż, konsekwentną i logiczną budowę akcji. Oto przykładowy „antyfilm", odpowiednik „antypowieści" francuskiej usiłującej uciec od wytartych schematów XIX wiecznej literatury. Równie wysoko oceniano walory treściowe dzieła Resnaisa — zaangażowanie w tak kluczowe problemy współczesności, jak wojna i broń atomowa. Zdecydowanie pacyfistyczna wymowa zjednała temu filmowi zwolenników na całym świecie, w ubiegłym roku na Festiwalu w Cannes przyznano „Hiroszimie" Nagrodę Krytyki, choć do oficjalnej konkurencji festiwalowej dzieło Resnaisa nie zostało dopuszczone.

Tymczasem jednak film ten dotarł do Polski i od razu wzbudził dyskusje i wątpliwości. Pisze Andrzej Kijowski w „Życiu Literackim":... „sentymentalny banał, grający na powojennych sentymentach, oraz atomowych lękach publiczności. Jest to film zrobiony metodą szantażu, zrobiony w dodatku źle, pod każdym względem — aktorskim, reżyserskim, literackim w końcu"...

Skąd taka rozbieżność ocen? Zaciążył na tym przede wszystkim mariaż scenarzystki i reżysera, tekstu — i roboty filmowej.

Autorem scenariusza jest Margueritte Duras, współczesna pisarka francuska, propagatorka „antypowieści".

Alain Resnais należy do najwybitniejszych reżyserów-dokumentarzystów, pasjonuje się publicystyką filmową. Jego zrealizowane jeszcze przed „Hiroszimą" filmy dokumentarne cechuje ogromna konsekwencja postawy autorskiej i tematów: „Guernica" — oskarżenie wojny, oparte o przewijające się motywy obrazu Picassa; „Posągi także umierają" — na przykładzie niszczenia zabytków arfynaskiej kultury ludowej — ukazuje wyzysk kolonizatorów; wreszcie „Noc i mgła" — wstrząsający dokument o hitlerowskich obozach zagłady.

I oto ten reżyser, o tak zdecydowanej i jednoznacznej postawie ideowej — bierze na warsztat scenariusz, który w swej ostatecznej wymowie nie jest jednoznaczny. Jaką bowiem propozycję zawiera scenariusz Margueritte Duras? Zamiarem autorki jest zasugerowanie pewnego podobieństwa, współzależności między losem francuskiej dziewczyny, zakochanej w niemieckim żołnierzu, potępionej i ukaranej przez społeczeństwo — oraz losem miasta, które padło ofiarą nieodpowiedzialnej i niepotrzebnej zbrodni....

Przez cały film czuje się walkę reżysera z materiałem literackim, Resnais usiłuje rozdzielić, rozbić fabularne zależności scenariusza. I kiedy Duras stawia bohaterów w odosobnioną, wysublimowaną sytuację — Resnais stara się ich ściągnąć „na ziemię" rzeczowej dyskusji o sprawach wojny i pokoju.

Konflikt reżysera i scenarzysty ujawnił się nawet w grze aktorskiej. Emanulle Riva, poddała się tekstowi, dając pokaz gry pełen ekspresji i bogactwa — ale to aktorstwo wyłamuje się z oszczędnej, surowej konwencji, jaką chciał utrzymać Resnais. Japończyk Eiji Okada, potrafił się dostosować do reżyserskich sugestii, jest prostszy, bardziej zdyscyplinowany w środkach gry — i... niknie w cieniu popisu swej partnerki, która jest na pewno aktorką bardziej utalentowaną. Niestety.

Sam Resnais wspominał w jednym z wywiadów, że głównym zadaniem jakie sobie postawił w czasie realizacji — było przezwyciężenie nadmiernej „literackości" anegdoty. Zapewne — pod tą „literackością" rozumiał fabułę, pretensjonalne dialogi miłosne....

Stąd się też wzięła oryginalna forma tego filmu, który chce operować dowodami (t.j.. dokumentami filmowymi) a nie umowną fabułą; chce on przedstawiać samą rzeczywistość, a nie opowiadanie o niej.

Resnais, debiutując w filmie fabularnym, trochę nie docenił — wydaje się — niebezpieczeństw ze strony tekstu. Toteż tam, gdzie w swym filmie odcina się całkowicie od scenariusza, gdzie bierze górę dokumentarzysta — autor „Nocy i mgły" — tam dzieją się rzeczy wstrząsające. Gdy jednak dochodzi do głosu pani Duras, a Resnais się z tym godzi — zaczyna się rzecz po prostu pretensjonalna...

W efekcie — trudno dać jednoznaczną ocenę tego pękniętego, dwoistego dzieła, niesposób wymierzyć „punktowo" zwycięstw i porażek reżysera w walce ze złym scenariuszem. I tylko osobiste odczucie każe stwierdzić na zakończenie, że jednak ostateczne zwycięstwo odniósł... Alain Resnais.

M. BARTOSZEK

NA PLANIE „RZECZYWISTOŚCI"

Po 6 tygodniach zdjęć plenerowych w Lublinie powróciła do Łodzi ekipa, która realizuje film wg znanej książki Jerzego Putramenta — „Rzeczywistość". Reżyseruje Antoni Bohdziewicz. Jest on także — wraz z Tadeuszem Byrskim — autorem scenariusza.

Pierwszego dnia pobytu w Łodzi ekipa kręci kilka scen we wnętrzu naturalnym — w antykwariacie „Słowo". Pomieszczenia „Słowa" są, jak wiadomo, maleńkie i to bardzo utrudnia warunki pracy. Obiecuję, że będę się starał nie zawadzać...

* * *

Na planie bohaterowie filmu: Szulc, Choroszówna i kilku statystów. Szulc, to Henryk Boukołowski, aktor warszawskiego teatru „Ateneum". Choroszówna, to Pola Raksa — wprawdzie nie jest ona zawodową aktorką, ale ma za sobą dużą rolę w filmie Kanlewskiej „Wakacje z szatanem".

Całość sceny wygląda tak: krótka sprzeczka między Szulcem i Choroszówną w wypożyczalni antykwariatu; wchodzi bibliotekarka, podaje im książkę; Szulc i Choroszówna wychodzą odprowadzani wzrokiem staruszka przeglądającego na drugim planie książki; w przejściu mijają ich dwaj chłopcy, którzy przyszli wypożyczyć „Winnetou"...

Tylko tyle. W kinie oglądania najwyżej na minutę. Ale na planie...

Najpierw reżyser „ustawia" z osobna każdego aktora i nie aktora. W tej fazie nie ma na ogół kłopotów. Znacznie gorzej, kiedy trzeba wszystko zsynchronizować.

Próbuje się więc i próbuje... Staruszek zapomina się odwrócić, starsza pani zaś zbyt późno wychodzi na plan, aktor się „zacukał"... Ktoś spostrzega, że jest za dużo okularów: ma je staruszek, starsza pani, mają je obaj chłopcy... Reż. Bohdziewicz doszlifowuje z pozoru nic nie znaczące szczegóły... — „W tym miejscu spróbujmy zrobić przerwę. Mocniej akcentować to „z tobą". Pola, odwracaj się, gdy on mówi „wyglądam na idiotę". Henryk patrz może lepiej tutaj..."

Gdy reżyser jest już jako tako zadowolony — zaczyna szlifowanie operator... Aktorzy zmęczeni, ciągle te same ruchy, słowa...

Nie, nie można przekazać tej aury powstawania maleńkiego ogniwa filmu. To trzeba zobaczyć.

* * *

Kiedy już ujęcie zapięto na ostatni guzik, a potem nakręcono — reż. Antoni Bohdziewicz znalazł chwilę czasu dla mnie.

— Czy film będzie się znacznie różnił od powieści Putramenta — zapytuję.

— Oczywiście. Książka jest jakąś panoramą tamtego okresu, w filmie natomiast wydobyta będzie przede wszystkim tragedja Szulca, a poza tym proces jego dojrzewania jako komunisty będzie pełniej ukazany. Zmieniliśmy także sposób narracji. Putrament pisze w pierwszej osobie, z tego zrezygnowaliśmy.

— Na ogół sądzi się, że problematyka społeczna jest dla szerokiego kręgu widzów mało atrakcyjna. Czy spodziewa się pan, że „Rzeczywistość" będzie miała powodzenie u publiczności?

— Sądzę, że tak. Mogłem przynajmniej częściowo sprawdzić. Audycja na podstawie „Rzeczywistości", którą zrealizowałem dla radia, była powtarzana z dużym powodzeniem wiele razy. Poza tym podobało się, zrealizowane również przeze mnie, widowisko telewizyjne o procesie Szulca.

— Czy nie myślał pan o tym, aby film nakręcić w Wilnie tam, gdzie jest umiejscowiona akcja?

Myślałem. Ale musielibyśmy mieć chyba samolot do dyspozycji, aby przywozić aktorów grających przecież często w teatrach. Z drugiej strony — Wilno się rozbudowało i nie przypomina tego sprzed wojny. A niektóre fragmenty Lublina są podobne do wileńskich...

— Dlaczego do głównej roli zaangażował pan debiutantkę, Polę Raksę?

— Widziałem jej możliwości w filmie Marii Kaniewskiej. Poza tym — jej typ urody jest bardzo „przedwojenny"...

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Pola Raksa w roli Choroszówny

Reż. A. Bohdziewicz (po środku) na planie

MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA

W KINACH

KÓŁKO

Małe, zębate kółko metalowe od kombajnu, nie wkręcone w porę przez jasnowłosego 14-latka — rozpędziło żywą i dowcipną akcję filmu „Niezwykła pogoń". Dodać należy, że ten wychowawczy film reżysera Iljі Freza wywołał swego czasu dość burzliwą dyskusję w Związku Radzieckim. Rozważano zwłaszcza czy nadaje się w filmie dla młodzieży uczynić bohaterem chłopaka wesołego i ambitnego, ale zarazem skorego do zaczepki, bójki i kłamstwa?

A. N.

PARADOKSY

Co zrobi ojciec — przestępca, żeby nie stanąć oko w oko z synem — sekretarzem sędziego? Oto pytanie na jakie daje odpowiedź angielska komedia kryminalna „Prawo i bezprawie". Przykładem dowcipu realizatorów mogą być choćby takie pomysły: gumowy model rekina służy do przerzucania koniaku z Francji, sędzia jedzie na rozprawę karetką więzienną w charakterze aresztanta i w towarzystwie stałego klienta — przestępcy. Dobrą zabawę dla widzów, którzy lubią paradoksy i absurdalny humor.

A. N.

EKRANIK

„OBIETNICA" — interesująca powieść szwajcarskiego pisarza, Friedricha Dürenmatta — na krótko tylko pojawiła się na półkach księgarskich, rozchwytali ją zarówno miłośnicy poważnej lektury, jak i amatorzy romansów kryminalnych. Jak wiadomo, „Obietnica" powstała jako poszerzona i pogłębiona przeróbka scenariusza filmowego, (rzadki wypadek, przeważnie bywa odwrotnie), który Dürenmatt napisał na prośbę hiszpańskiego reżysera Ladislao Vajdy i producenta szwajcarskiego Lazara Wechslera. Zanim jeszcze ukazała się książka, Vajda ukończył film — pt. „W biały dzień". Ostatnio zaś — Rada Repertuarowa zdecydowała zakupić ten film do Polski, zobaczymy go na początku przyszłego roku. Główne role grają znakomici aktorzy — Francuz Michel Simon i Niemiec Heinz Rühmann.

LAUREATKA weneckiej nagrody za najlepszą kreację — aktorka amerykańska Shirley Mc Laine — jeszcze przed 5 laty była publiczności zupełnie nieznana. Daleka i urodą i usposobieniem od modelu typowych hollywoodzkich gwiazdek — reprezentuje typ przeciętnej współczesnej Ameryki. Jest szczera, impulsywna, dowcipna — a pod pozorami pewnej pustki ukrywa sporo zdrowego rozsądku. Bardzo wyrazista w mimice i geście — staje się powoli aktorką najwyższej rangi, której można powierzyć trudne, skomplikowane role. Obecnie amerykańscy reżyserzy wyrywają ją sobie z rąk, toteż od 1959 r. zdążyła już nakręcić aż 5 filmów.

FERREIRO DA SILVA — eks-rekordzista Olimpiady i świata w trójskoku — zakończył chyba definitywnie swoje starty — na minionej Olimpiadzie. W międzyczasie jednak popularny brazylijczyk zaczął inną karierę — aktora filmowego. Już trzy lata temu debiutował epizodycznymi rólkami w komercjonalnych filmach brazylijskich, aż zwrócił na niego uwagę młody reżyser Marcel Camus i powierzył mu ważną rolę „Śmierci" w słynnym swoim filmie „Czarny Orfeusz". Filmowe wcielenie da Silvy zobaczą także widzowie polscy, film Camusa został bowiem kupiony i w październiku ukaże się na ekranach.

DONALD